

„Cztery promienie umierającego słońca z czterech świata stron wypuszczone, u źródła życia spleta się w jeden słup ognia, by słońce na ziemię wróciło, by spokój zapanował na wszystkich ziemi.”

Noc dobiegała końca. Drzewa i kryte strzechą chaty pobliskiej wioski coraz wyraźniej majaczyły w ustępującym mroku. Pozorny spokój nie zmylił jednak starego mądrego Madrona. W powietrzu dało się wyczuć dziwną energię, która zdawała się gęstnieć. Stojący u wylotu jaskini starzec z długą białą brodą kiwnął głową jakby chcąc potwierdzić swoje własne myśli i rzekł cicho, patrząc na majaczącą w oddali wioskę i wieże zamkowe na przeciwległym wzgórzu:

- Nadszedł twój czas, Fergalu. Gotuj się do drogi.- Wszedł do jaskini. Fergal spojrzał na niebo. Słońca jeszcze nie było widać na horyzoncie, ale Madron wiedział co mówi. Wszedł za nim do wnętrza jaskini, do wielkiej przestronnej groty, oświetlonej blaskiem ogniska. Fergal spędził tu prawie całe swoje życie, ukrywając się razem z garstką zaufanych ludzi.

On, książę, któremu należał się tron królestwa musiał jak zbieg ukrywać się przed armią Sorchy. Ta myśl napełniała go złością. Znał swoje przeznaczenie.

Przepowiednia którą przekazał mu Madron w dniu, gdy musieli uciekać z zamku, zostawiając za plecami mordowanych, skąpanych we krwi rodziców chłopca, jego wojska i sługi, wciąż brzęczała mu w uszach.

Tak długo na to czekał...

Nareszcie!

Nareszcie nadszedł ten dzień, kiedy będzie mógł wyruszyć na

spotkanie swego przeznaczenia! Juki miał zawsze spakowane. Po chwili, z zamyślenia wyrwało go rzenie konia odbijające się echem od ścian jaskini. Odrzucił swoje długie kruczoczarne włosy na plecy, poprawił pas przechodzący ukośnie przez pierś, utrzymujący na plecach miecz w pochwie. Wyciągnął ręce przed siebie i uderzył pięścią o pięść. Na przedramionach ukazały się srebrne karwasze, które po chwili zniknęły. Był gotów.

- Fergalu... - Eilis przyszła do niego, kiedy sprawdzał popręg i juki. Kochana słodka Eilis... Być może widział ją po raz ostatni...

Zbliżywszy się do niej, dotknął bladego policzka.

- Bądź ostrożny.- Szepnęła.

- Zapomnij o mnie. Dla własnego dobra.- Rzekł, szybko wskoczył na konia i odjechał przed siebie. Lepiej nie przeciągać pożegnań w nieskończoność. Stają się wtedy o wiele trudniejsze.

Fergal wiedział, że musi być ostrożny, podróżować lasem, z dala od utartych traktów, ukrywać się pod przepastnym kapturem.

Najważniejsze było odnalezienie pozostałej trójki strażników i wspólna misja, nie mógł więc rzucać się w oczy. Najdłużej jak się da musiał unikać kłopotów.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że choćby nie wiem jak unikał kłopotów, one nie unikały jego. Jakby miał w sobie jakowyś magnes przyciągający wszelakie możliwe kłopoty.

Gnał lasem jakiś czas, jakby chcąc jak najszybciej oddalić się od ukrytej jaskini, którą przed wzrokiem ludzkim i nieczystymi mocami chroniły prastare zaklęcia, jakimi Madron miotał regularnie w każdą wilczą pełnię księżyca, chodząc przed wejściem do groty, niczym wartownik.

Potem, już w sporej odległości od swej kryjówki, Fergal zwolnił, dając koniowi odsapnąć. Kilka dni jechał, nie spotkawszy żywej duszy. W końcu usłyszał coś dziwnego. Jakiś niewyraźny głos dochodzący zza krzewów głogu w pobliżu. Wyostrzył słuch. Ktoś najwyraźniej gadał do siebie, użalając się nad swym marnym losem.

- Mogłem siedzieć cicho. Jaki czort mnie podkusił.... Teraz umrę tutaj z głodu. Nikt mnie nie znajdzie. A tak bym zjadł pieczeń z dzika...

Albo bażanta w rozmarynie....

Koń Fergala zarżał. Najwyraźniej ten ktoś go usłyszał, bo ucichł na chwilę, po czym zaczął rozpaczliwie wołać:

- Jest tu kto? Ratunku? Pomocy! Ktoś ty? Odezwij się!

Fergal zeskoczył z wierzchowca, przezornie dobył miecza i ostrożnie ruszył za krzaki, skąd dochodził głos.

Ujrzał widok tyle komiczny, co żałosny. Jakiś, dość wątlej postury człowiek przywiązany do drzewa, z opuszczonymi portkami. Obok leżał rozbity w drzazgi instrument. Fergal schował miecz do pochwy.

- Panie! Ulituj się nad biednym bardem. Uwolnij mnie. Błagam.

- Dlaczego miałbym ci pomóc?- Zapytał rozbawiony Fergal.

- Boś jest dobry człowiek. Ulituj się panie, a moja wdzięczność i lojalność wobec ciebie będą bezgraniczne.

- A na co mi twoja wdzięczność. Coś, komu uczynił, że cię taki los spotkał?

- Ja? Nic. Toć ja tylko skromny poeta i śpiewak. Choć przyznaję nieskromnie, że w całym królestwie znany.

- Ciekawe tylko z czego... Skoro tak mówisz, żeś tylko poeta, toć chyba jakąś fałszywą nutę podpadłeś...

- Panie, nie obrażaj mnie i nie znęcaj się dłużej nad biednym, głodnym bardem.

- Dobra, niech ci będzie, bardzie.

Zza paska dobył sztylet i przeciął więzy. Poeta od razu podciągnął portki w górę i ruszył za nim.

- Dzięki ci panie! Wiedziałem, że dobry człowiek z ciebie. I jakowyś znaczny, bo masz królewską postawę, a i strój godny króla.- Mruczał pod nosem bard, oglądając jego skórzaną bluzę zdobioną tłoczeniami i portki, pelerynę zapinaną na guzy z wilczych zębów.

- Zwą mnie Yalu, panie. A ciebie?

Fergal nie odpowiedział. Wskoczył na konia i ściągnął wodze.

- Zaraz! Zaraz! Chyba mnie tu nie zostawisz, panie! Tu są niedźwiedzie! I wilki!

- Mniemam, że niedaleko stąd do miasta, skoro cię tutaj zostawili. Nogi masz zdrowe, zajdziesz.

- Panie, od dwóch dni nie jadłem! Nie mam siły iść aż do miasta!

- No dobra. Wskakuj.- Podał mu rękę i podciągnął w górę. Yalu wgramolił się na koński grzbiet i ruszyli dalej.

Leśny trakt wiódł do pobliskiej miejsciny. Fergal zamierzał zostawić tego cudaka w pierwszej napotkanej karczmie. Nie potrzebował towarzystwa, zwłaszcza takiego, który tyle gada.

Siedząc za plecami Fergala, poeta przed nosem miał rękojeść jego miecza. Bogato zdobioną w prastare runy i wizerunek przedstawiający ziejącego ogniem smoka. Musiał to być ktoś znaczy. Szczególny. Miecza z takimi zdobieniami nie widział nigdy u nikogo, a bywał na wielu dworach. Ciekawość zżerała go od środka. Kim był ten człowiek, skąd i dokąd zmierzał.

Opuszczając bezpieczne leśne ostępy, Fergal wzmógł swą czujność. Teraz jadąc utwardzonym gościńcem, mógł być łatwo rozpoznany przez ludzi Sorchy, a mógł się na nich natknąć w każdej chwili i w każdym miejscu. Najemnicy Sorchy byli wszędzie. Pilnowali, czy aby wszyscy oddają należyte podatki samowładczemu władcy, zaprowadzali swoją praworządność, polegającą na tym, że robili co chcieli, z kim chcieli, kiedy i gdzie chcieli.

Przed miejsciną stała karczma, otwierając swe podwoje dla wszelkiej maści wędrowców, czy też miejscowych moczymordów.

Fergal ukrył miecz pod płaszczem, głęboki kaptur naciągnął na głowę. Najpierw pomógł zejść Yalu, potem sam zeskoczył z konia jednym płynnym ruchem. Konia przywiązał do żerdzi pod karczmą i wszedł do środka, za bardem.

W izbie było dość ciemno. Niewiele światła wpadało przez małe, brudne okienka na których pająki uprzedły rozłożyste sieci, łowiąc muchy ściągające do karczmy by paść się na resztkach jedzenia. I pająki i muchy miały się tu czym pożywić. Podobnie, jak i ludzie. Na stołach stały wetknięte w gliniane dzbanki świece. Po kątach siedziało kilku ludzi, zajętych kuflem piwa, albo jakąś strawą.

Pojawienie się obcego tajemniczego przybysza zwróciło jednak ich uwagę. Każdy zerkał ukradkiem w jego stronę. Fergal usiadł przy ciężkiej grubo ciosanej ławie. Yalu przysiadł się do niego i zawołał na karczmarza.

- Hej, karczmarzu, głodni jesteśmy!

Okrągły jak pulpet gospodarz podszedł do nich.

- Mam kaszę z omastą.

- A mięsiwa jakiego nie masz?

- Kura się znajdzie.

- No to czego nam tu jakąś kaszą głowę zawracasz? Dawaj te kury, ino żywo!

- Kasza z omastą niech też będzie.- Rzekł spokojnie, ściszonego głosem Fergal.

- Żebyś miał czym zapłacić, śpiewaku. Bo jak cię ostatnio stąd ostatnio wyrzucałem, nie miałeś grosza przy duszy.

- Bo mnie okradziono!

- Nie moja rzecz, czy rozdałeś majątek biednym, czy sami ci go wzięli. Ja mam rodzinę do wykarmienia i uczciwie na życie zarabiam. Za usługę należy się zapłata. Nie masz grosza, nie zjesz. -

Karczmarzu, podajcie strawę.- Rzekł cicho Fergal i rzucił srebrną monetę na ławę. Oczy karczmarza aż się zaświeciły. Zgarnął monetę, do kieszeni. Machnął ręką i przywołał córkę, żeby zajęła się przyrządzeniem posiłku.

- Piwa daj!- Krzyknął jeszcze Yalu. Irytował Fergala tym głośnym zachowaniem.

- Uspokój się, z łaski swojej. Ciszej nieco.- Upomniał barda. Piękna złotowłosa córka karczmarza przyniosła szklanice i dzban piwa. Nalała im napitku.

- Dziękujemy.- Kiwnął głową Fergal, wciąż ukrywając się pod kapturem.

Ona chciała odwrócić się i odejść, ale Yalu zatrzymał ją.

- Zostaw dzban, zostaw miła gołąbeczko.

- Pan chyba z daleka...- Zagadnęła Fergala z uśmiechem.- W tych stronach próżno szukać tak znamienitych rycerzy...

- Ludzkie oczy łatwo oszukać. Czasem to, co z pozoru zdaje się znamienite, bywa nie godne spojrzenia.- Odparł.

- Panie...- Parsknęła, rumieniąc się.- Rozejrzyjcie się.

W rogu jakiś pijaczek osunął się na klepisko.

- A wojska Sorchy często się kręcą po okolicy?

- Panie, nie ma dnia, żeby nas nie gnębili. W każdej najbliższej miejscinie są ich całe hordy.

Ojciec przywołał ją do porządku i musiała zająć się pracą, więc Fergal już niczego więcej od niej się nie dowiedział. I tak dużo powiedziała,

by wiedział czego się w drodze spodziewać.

Yalu nie zamykał gęby. Cały czas plótł coś o swoim niepowtarzalnym talencie, podróżach. Fergal dla odmiany milczał. Szczęście, że nikt ich nie zaczepił i kiedy zjedli, mógł spokojnie ruszyć w dalszą drogę.

Dziewczyna nie odrywała od niego wzroku przez cały ten czas, gdy siedzieli w karczmie. Wychodząc dał jej jeszcze jedną srebrną monetę, mówiąc cicho:

- Nie było mnie tutaj. Nigdy mnie nie widziałaś.

- Tak, panie.

- Bądźcie bezpieczni. Bywaj.

- Wyszedł, a Yalu pobiegł za nim, z kurzym udkiem w ręce, potykając się w biegu o zydel stojący mu na drodze.

- Zaraz, zaraz! Przyjacielu!

- Nie jestem twoim przyjacielem.

- Jakże to? Zostawiasz mnie tutaj, w tej spelunie?

- Nie naprzykrzaj się córce karczmarza. Nigdy mnie nie spotkałeś.-
Wskoczył na swego konia.

- Przyjacielu!

Fergal popędził konia, chcąc jak najszybciej ukryć się w dzikich leśnych ostępach.

Jechał z dala od utartych szlaków. Nocami spał na ziemi, z głową opartą na jukach. Nie palił nawet ogniska. Nie obawiał się ani ciemności, ani dzikich zwierząt. Każdej nocy spał w pobliżu wilk, czasem dwa, strzegąc go. Koń nie bał się owych wilków. Zachowywał się przy nich zupełnie spokojnie, a one się nim nie interesowały.

Zmierzając w Góry Pardonu, przemierzał najdziksze lasy. W drodze spotkało go pewne nadzwyczajne zjawisko, ale on nie przeraził się, nie był zaskoczony. Wiedział, że to się stanie i oczekiwał go.

Zbliżało się południe, gdy nagle zaczęło się ściemniać. Zatrzymał konia. Wiedział dobrze co się dzieje. Spojrzał w niebo. Zmierzchało, gdyż słońce zaczęło znikać z nieboskłonu. Zakrywała je ciemna tarcza. Było go coraz mniej i mniej, aż czarny krąg zakrył je zupełnie. Madron miał rację. Zaczęło się!

Wskoczył w siodło i ruszył dalej. Pośpiesznie minął na trakcie

woźnicę który w panice przed tym, że słońce spadnie mu na głowę, schował się pod swój wóz.

Wkrótce jednak zaczęło się na powrót rozjaśniać, aż wszystko wróciło do normy.

Fergal przemierzał las nie zatrzymując się. Nagle, nie wiadomo skąd pojawiło się ośmiu zbrojnych na koniach.

- Ktoś ty?- Zapytał jeden z nich.

- Wędrowiec.- Odpowiedział spod kaptura. To byli ludzie Sorchy. Rozpoznał ich po czaszkach dzików, które nosili na głowach. Miały budzić grozę. Na Fergalu nie robiły wrażenia.

- Imienia nie masz? Pokaż gębę.- Ryknął rozbawiony najemnik, nader pewny siebie.

- Mam imię...- Powiedział cedząc słowa. Wiedział czym skończy się za chwilę ta wymiana zdań.

- Jeśli ci je zdradzę, to będzie ostatnia rzecz, jaką w życiu usłyszysz...

- Patrzcie go!- Śmiali się głośno.- Nauczymy cię zaraz, że z ludźmi Sorchy się nie zadziera!- Ruszyli na niego. Był gotowy. Odrzucił płaszcz i jednym płynnym ruchem dobył z pochwy miecza. Ostrze świsnęło w powietrzu i trzech zbrojnych runęło na ziemię z trzewiami wylewającymi się na wierzch. Konie rżały w panice uciekając w las. Widząc to pozostali cofnęli się.

- To on! To strażnik!- Krzyknął jeden, rozpoznawszy insygnia jakie Fergal nosił na czole; oprawiony w srebro czerwony kamień, dziwnie połyskujący, jakby zawierał w swoim wnętrzu jakieś życie. Albo żywy ogień. Jakąś moc. Pojedynczo sobie z nim nie poradzą, to było jasne. Runęli na niego kupą, zwalając go z konia. Zaskoczeni jego siłą i zwinnością, zdołali go jednak przygwoździć do ziemi.

W tej kotłownianinie nie zauważyli że mają towarzystwo...

Białe kły ociekające śliną i dziki wzrok. Na plecy atakujących Fergala najemników rzuciła się wataha wilków. Żaden z tych śmierdzących czosnkiem i piwem przerośniętych rzezimieszków nie uszedł z życiem.

Gdy było po wszystkim Fergal z wysiłkiem zrzucił z siebie ciężkie ciało jednego z ludzi Sorchy. Był ranny. Spojrzał na wilki. Stały i patrzyły na niego.

- Dziękuję, przyjaciele.- Stęknął, wstając z ziemi. Krwawił.

Napastnicy zadali mu kilka poważnych ran. Wiedział, że potrzebuje pomocy kogoś, kto dobrze zna się na opatrywaniu ran odniesionych w walce.

Koń czekał spokojnie nieopodal.

Wilki oddaliły się nie ruszając zagryzionych trupów. Książe z trudem wsiadł na konia i ruszył dalej. Musiał znaleźć jakąś pomoc. Cyrulika który by go opatrzył. Niestety do jakichkolwiek osad ludzkich było daleko. Wiedział, że jest źle, że może nie zdążyć. Słabł z każdą chwilą. Nie miał sił już utrzymać się w siodle. Pociemniało mu w oczach. Zwisając z konia, słyszał jego kroki na trawie. Potem wszystko ucichło.

Kapłanka Aithe skupiona była na swoich ziołach, które wieszała w pęczkach pod powalą. Siwiejąca, krągła niczym ulegalka, z groźnym spojrzeniem, budziła respekt. O jej umiejętnościach i wiedzy śpiewano pieśni, niewielu jednak mogło trafić do jej sanktuarium. Wieszając zioła do suszenia, odmawiała jakieś tajemne formułki w prastarym języku, który znało dziś już niewielu wtajemniczonych. Nagle stanął przed nią wilk.

W zębach coś trzymał. Spojrzała na niego marszcząc brwi, a on wypuścił z pyska ten przedmiot. Od razu rozpoznała. Podniosła z ziemi koronę i bezzwłocznie wezwała do siebie sługi. Wilk stał cierpliwie i czekał, jakby jakiś oswojony pies.

- Ruszajcie w drogę! Wilk was poprowadzi!- Rozkazała sługom, którzy biegiem stawili się przed nią.

Czterech jeźdźców od razu ruszyło w ślad za zwierzęciem. Aithe odprowadzała ich wzrokiem wyglądając przez okno z wieży kamiennego zamku, ukrytego w gęstwinie lasu. Denerwowała się. Co tam się wydarzyło? Czy zdążą z pomocą? Mogła się spodziewać

wszystkiego. Trzymając w dłoniach koronę strażnika, jednego z ludzi najważniejszych dla przyszłości świata. Jeśli zginął, nie będzie możliwe spełnienie przepowiedni i nigdy już nie uwolnią się od krwawych i okrutnych rządów Sorchy. Nie, to nie możliwe. Tak nie mogło być.

Czas mijał a słudzy nie wracali. Zdenerwowana chodziła w tę i z powrotem, mamrocząc coś cicho pod nosem. Nie wypuszczała z rąk korony z czerwonym klejnotem.

Było już całkiem ciemno, gdy słudzy wrócili na zamek. Czekala na nich z pochodnią w ręku. Pięć koni wjechało przez bramę. Jeden bez jeźdźca. Fergala trzymał w siodle jeden z sług, najsilniejszy, choć niepozornej budowy.

- Żyw?- Spytała.
- Dycha jeszcze.
- Szybko, przenieście go do komnaty!

Fergal nie budził się przez wiele dni. Dzięki troskliwej opiece Ainthe rany goiły się prawidłowo. Któregoś ranka w końcu otworzył oczy świadomie i ujrzał nad sobą okrągłą twarz kapłanki.

- Kim jesteś?- Zapytał, zaskoczony, że jego głos brzmi tak słabo i jakby z daleka.
- Ainthe. – Odparła krótko, bez zbędnych ceregieli. Zmieniała mu właśnie opatrunki.
- Czcigodna matka Ainthe...- Powtórzył. Madron wspominał wiele razy o tej kapłance.- Miałem sen... Widziałem jakąś zjawę nade mną. Biała była, jak śnieg.- Mówił. Zaszło mu całkiem w ustach.
- Głupiś, to nie była żadna zjawa. Trzymaj, napij się wody.- Uniosła mu głowę i dała się napić ze srebrnego kielicha.
- Jak się tu znalazłem?
- Twój wilk cię uratował. Żeby nie on, to bylibyśmy na Sorchę skazani na wieki. Głupcze, ty nie możesz zginąć! Zbyt ważną misję masz do wypełnienia. Nie rozumiem jak mogłeś dać się tak podejść.- Patrzyła

na niego z góry, krytycznym wzrokiem.- Mówiłam Madronowi, że to za wcześnie. Za młodzi jeszcze jesteście. Nie znacie własnej mocy. Zanim stawicie czoła wojskom Sorchy musicie być pewni swojej siły i umieć się nią posłużyć. Ilu ich było, hę?- Podparła się pod boki, piorunując go wzrokiem.

- Ośmiu.

- Ośmiu... Chłopcze, ośmiu to ty jednym ruchem palca położysz. Madron niczego cię nie nauczył?

- Nauczył.

- Właśnie widzę.- Burknęła.

- Zmęczony jestem...

- Śpij, śpij. Sen leczy.

Zamknął oczy i od razu zasnął.

Wieczorem do komnaty przysła dziewczyna w błękitnej sukni. Miała długie do pośladków, proste włosy, zupełnie białe. Jej brwi i rzęsy również były białe, a oczy jasno błękitne, jak jej suknia. Na czole miała srebrny diadem z białym skrzącym się tęczą barw opalem.

Weszła cichutko, na stoliku położyła miskę pożywnej zupy i usiadła na brzegu łóżka, w którym spał Fergal. Wyglądał zdrowiej. Nabrał kolorów. Gorączka spadła, rany goiły się dobrze. Usta miał tylko spieczone. Uniosła dłoń tuż nad jego usta, a z jej palca spadła kropelka wody, za nią druga, trzecia. Oblizął wargi i spojrzał na nią.

- Przyniosłam ci supę.- Rzekła łagodnie, dźwięcznym głosem.

- Jesteś...- Patrzył na jej koronę.

- Cairean.- Uśmiechnęła się.- Czekałam na ciebie.

- A pozostali?

Pokręciła przecząco głową.

- Pomogę ci usiąść. Musisz jeść, żeby nabrać sił jak najszybciej. Poza tym matka Ainthe nie lubi kiedy się zostawia coś w misce.

Pomogła mu się podnieść i podłożyła miękką owczą skórę pod plecy. Spojrzał na siebie. Miał trzy rany zadane sztyletem. Ta na ręce była płytka. Ostrze omsknęło się po przedramieniu, kiedy mocował się z dwoma napastnikami na raz. Rana pod żebrami i nad prawą piersią w pobliżu ramienia, były poważniejsze. Wiedział co to może oznaczać. Spróbował zacisnąć pięść, ale nie wyszło najlepiej. Zaklął. Ainthe

miała rację. Jak mógł być tak głupi?! Mógł przecież użyć swojej mocy, a on zachował się jak zupełnie przeciętny człowiek.

- Daj sobie czas. Musisz wrócić do zdrowia.

- Jak mam wziąć miecz do ręki?- Sięgnął po drewnianą łyżkę, ale wypadła mu z dłoni.- Jak mam walczyć bez ręki?! Jestem bezużyteczny!

- Odzyskasz siłę w ręce. Teraz zjedz zupę. Jeśli wrócę do kuchni z pełnym talerzem, Aithe urządzi karczemną awanturę.

Podawała mu pierwszą łyżkę. Zjadł, choć nie opuszczała go złość. On, książę i strażnik, człowiek obdarzony mocą większą niż zwykli ludzie byli w stanie sobie nawet wyobrazić, leżał bez siły a kobieta go karmiła! Jego! To upokorzenie trudniej było przełknąć niż tę wstrętną papkę, którą Cairean szumnie nazywała zupą. Zdołał wmusić w siebie pół miski i odesłał dziewczynę do kuchni.

- Ile zjadł?- Zapytała Aithe lepiać cienkie plastry z elfickiego miodu na płóciennym bandażu. Nic nie goiło lepiej ran, niż gęsty niczym sam воск i gorzki elficki miód. Cairean pokazała jej miskę.

- To i tak dużo. Sądziłam raczej, że nie weźmie ani łyżki z rąk kobiety. Masz na niego dobry wpływ.

- On nie ma władzy w ręce...

- Ano nie ma... Sztylet przeciął ścięgna i mięśnie.- Westchnęła ciężko. Martwiła się o niego od chwili gdy wilk upuścił jego koronę pod jej stopy. Od tamtej chwili, do teraz tak samo się zachodziła w głowę jak poukłada się przyszłość strażników i całego królestwa. Ba, całej ziemi.

- Musimy mu pomóc...

- Cairean, nigdy tego nie robiłaś. Nie wiemy jaki to może mieć wpływ na ciebie.

- Robiłam to już. Pomogłam sójce ze złamanym skrzydłem.

- Dziecko... Fergal to nie sójka. To kawał chłopca. Co jeśli nie zdołasz mu pomóc a wyczerpiesz się całkiem?

- Odzyskam siły. Nie wiem, czy mi się uda, ale muszę spróbować.

Matko, wiesz przecież, że on musi odzyskać władzę w ręce. Wiesz ile od tego zależy.

- Ano wiem, wiem...- Oplukała dłonie w misce z wodą i wytarła w długi poszarzały fartuch.- Kiedy chcesz to zrobić?

- Nie wiem... Jak zaśnie? Księżyc już prawie w pełni...

- Ja bym się jeszcze wstrzymała. Może natura sama sobie poradzi.- Stwierdziła kapłanka i poszła zmienić Fergalowi opatrunki.

Cairean uszanowała zdanie Ainthe choć się z nią nie zgadzała. O tym, że kapłanka miała słuszość, przekonała się już rano. Zaniósła Fergalowi śniadanie i nie zastała go w łóżu. Nie było ani jego, ani miecza. Pełna niepokoju wyjrzała przez okno. Stał na murach zamku z opuszczonym mieczem w lewej ręce. Chwyciła za suknię, żeby nie zaplątała jej się pod nogami i ile sił w nogach pobiegła, by go powstrzymać. Wypadła na taras, gdzie próbował ćwiczyć. Widziała jak unosi miecz obiema rękami.

- Fergalu nie!- Wykrzyknęła. Zignorował ją. Machnął mieczem parę razy i zrozumiał, że nie był to chyba najszcześliwszy pomysł. W głowie mu się zakręciło, poczuł tak silny ból, że w oczach pociemniało. Zachwiał się na nogach. Podbiegła i przytrzymała go. Płócienne opatrunki zabarwiły się na czerwono.

- Rany ci się otworzyły.

- Po co żeście mnie ratowały? Jestem bezużyteczny.- Wydyszał z goryczą.

- Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Dasz radę iść?

- Dam.- Powiedział i osunął się nieprzytomnie na ziemię. Cairean wiedziała, że nie ma na co czekać. Musiała interweniować inaczej Fergal zaszkodzi sobie na tyle, że rzeczywiście stanie się bezużyteczny. Miała też okazję wreszcie przekonać się na ile ją stać.

Szybko, zanim matka Ainthe zobaczy. Ułożyła go na kamiennej posadzce, odwiązała opatrunki. Z obu ran sączyła się krew. Cairean przyklęknęła obok niego, położyła obie dłonie na jego ranach. Zamknawszy oczy, szeptem zaczęła powtarzać jakieś formułki w dziwnym starożytnym języku. Czowała, jak wzbiera w niej moc. Kamień na jej czole roziskrzył się jasnym blaskiem. Ona sama cała pojaśniała. Mówiła z coraz większą mocą. Dłonie jej drżały, aż całe światło jakie ją wypełniało spłynęło po rękach, w rany Fergala. Uszły z niej wszystkie siły. Nie przypuszczała, że będzie to wymagało od niej aż

takiego wysiłku. Całkowicie wyczerpana opadła bezwładnie na jego pierś. Ocknął się wtedy.

- Cairean?

- Co wy wyprawiacie?! Jak dzieci!- Przejęta Ainthe spieszyła do nich, trzęsąc okrągłym brzuchem.- Wystarczy na chwilę z oka spuścić!- Marudziła pod nosem. Obejrzała ciało Fergala. Rany były w pełni wygojone i zabliznione. Za to Cairean omdlała, jeszcze bledsza niż zwykle.

- Wnieś ją do zamku.

Bez najmniejszego wysiłku wziął Cairean w ramiona i zaniósł do jej komnaty. Z ręką nie było żadnego problemu, jakby nigdy nie odniósł żadnych ran. W pełni silny, zdrowy i sprawny wniósł ją do jej komnaty i ułożył delikatnie na łożu. W komnacie unosiła się delikatna woń kwiatów.

- Co z nią będzie?

- Nic, musimy poczekać aż dojdzie do siebie.

- Kiedy to się stanie chcę od razu ruszać w drogę.

- A jakże.- Burknęła niezadowolona. Uważała, że są stanowczo za młodzi na podjęcie tak niebezpiecznej misji. To droga z której nie ma powrotu. Ale cóż. Los zdecydował. Znak był aż nadto czytelny, więc niech się stanie co ma się stać.

Cairean dochodziła do siebie przez cały dzień, ale fakt, że udało jej się po raz pierwszy w życiu uzdrowić człowieka, napawał ją radością.

Następnego ranka nadszedł czas, by wyruszyć w dalszą drogę. Ainthe dała dziewczynie suknie swoich sług, płaszcz z kapturem, aby nie wyróżniała się za bardzo. Przykazała jej między ludźmi nosić włosy ukryte pod czepkiem i kapturem. Wystarczyło jedno spojrzenie, by każdy, nawet najbardziej tępy wieśniak zrozumiał, że Cairean nie jest zwyczajną osobą. Musieli być bardzo ostrożni by nie ściągnąć na siebie ludzi Sorchy, od których roiło się wszędzie.

Nie mogli sobie pozwolić na kolejne potyczki. Odcinek drogi z ukrytego w środku lasu sanktuarium matki Ainthe pokonali szybko, ale z troski o konie musieli zwolnić. Oboje mieli wrażenie, że nie są sami. Czuli na sobie czyjś wzrok. Cairean i Fergal spojrzeli na siebie

w jednym momencie.

- Ktoś tu jest- pomyślała i usłyszała w głowie głos Fergala:

- Wiem.- Czytali sobie w myślach.

- Wilki?- Zapytała Cairean nadal nie otwierając ust.

- Nie tylko- Usłyszała w odpowiedzi. Uspokoila się trochę, ale nadal pozostawała czujna.

Cały dzień jechali nie zsiadając z koni, ale gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, zaczęli się rozglądać za jakimś dogodnym miejscem na nocleg. Fergal dostrzegł w gęstwinie ruch. To był wilk. Pokazał się im i skręcił w gęstszy las. Fergal od razu ruszył za nim.

Las zmienił się. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, ściółki i mchów. Stare, grube drzewa, kamienie, wszystko pokryte było soczystym zielonym mchem. Cairean zauważyła ptaszka, który podlatywał z gałęzi na gałąź, jakby im towarzyszył w drodze.

Uśmiechnęła się. Ptasek nie odleciał, cały czas podążał za nimi.

Skupiła na nim swoją uwagę, zaciekawiona, czemu ten śliczny malec tak się do nich przywiązał.

Zaczynało już zmierzchać

Wilk który ich prowadził, gdzieś zniknął. Cairean również zsiadła z konia i rozejrzała się. Zatrzymali się przy dużym omszałym głazie na brzegu niewysokiego urwiska. W dole płynęła rzeka, nad którą unosiła się cienka warstwa mgły. To ona sprawiała, że tyle tu było wilgotnych mchów. Fergal przytroczył konia do drzewa.

- Tutaj chcesz nocować? A jak rozpalimy ognisko? Wszystko jest zawilgocone.- Stwierdziła. Uśmiechnął się, rzucając juki na ziemię, przy zwałonym przez wiatr, obumarłym drzewie, które stało się domem nie tylko dla mchów, ale dla przeróżnych robaczków i innych małych stworzeń.

Przyniósł kilka wilgotnych gałęzi, rzucił na kupkę, stanął nad nią i wyciągnął rękę. Po chwili gałęzie zaczęły się palić, jak gdyby były zupełnie suche.

- No tak.- Mruknęła sama do siebie i rozłożyła na ziemi płaszcz.

Była głodna, ale nie chciała narzekać. Zapewne czekały ich o wiele trudniejsze wyzwania niż głód. Fergal ułożył się wygodnie po przeciwnej stronie ogniska, sięgnął do torby i wyjął z niej zawiniątko.

Podał jej kawałek placka i suszonego mięsa. Nie był to rarytas, za którym by przepadała, ale wyboru raczej nie miała. Żując suszone mięso spojrzała w górę. Między koronami drzew oświetlonymi blaskiem ogniska, widać było ciemne niebo z pierwszymi gwiazdami. Dobrze się tu czuła. Jej żywiołem była woda, porą zima, więc chłód i wilgoć zupełnie jej nie przeszkadzały.

Ogień przyjemnie strzelał iskrami, co chwila dało się słyszeć nocne odgłosy lasu. Pohukiwanie sowy, szelest małych zwierząt w ściółce, trzaskające drobne drewniane gałązki. Fergal okręcił się płaszczem, położył głowę na jukach. Dłoń jego cały czas spoczywała na rękojeści miecza. Zamknął oczy, ale nie zasypiał. Czuwał, nasłuchując, czy ktoś lub coś się nie zbliża. Cały czas też zastanawiał się co dalej. Jak znajdą pozostałych? Dokąd się udać by ich odszukać? Nad ranem zdrzemnął się tylko na chwilę, ale zbudził go jakiś dziwny szelest.

Zaczęło się rozjaśniać, nim jeszcze słońce wyjrzało zza horyzontu. Cairean spała spokojnym snem. Patrzył na nią. Nigdy nie widział tak bladej kobiety. Białe włosy, białe brwi, rzęsy, cera jak z alabastru. Urodę miała nadzwyczajną. Tak bardzo różniła się od niego... I w tej swojej odmienności była śliczna Naprawdę śliczna. Taka delikatna i pełna wdzięku.

Tuż obok niej za drzewem dostrzegł minimalny ruch. To ten szelest wyrwał go z drzemki. Skupił wzrok i za chwilę z zieleni wyłoniła się dziwna postać. Niewielka wzrostem, ze skórą pokrytą zielonym nalotem i liśćmi we włosach. Postać spojrzała na niego wielkimi czarnymi oczyma, a on usłyszał w głowie dźwięczny cichy głos: - Udajcie się do Ylvar. Ci ludzie potrzebują was.- W odpowiedzi kiwnął głową potwierdzająco. Postać jakby rozplynęła się wtapiając w otaczającą zielen. Wtedy Cairean zbudziła się ze snu.

- Kto to był?- Zapytała.

- Pomocne leśne elfy. Czas na nas.

Cairean była głodna. Było to dla niej nowe uczucie, ale lepiej przywyknąć, niż prosić, by jej towarzysz spróbował upolować jakiś posiłek. Skoro mówił, że czas ruszać, to tak właśnie było.

Nadszedł czas, by porzucić bezpieczny las i wejść między ludzi. Napotkali po drodze jakiegoś człowieka, jadącego wozem, na którym miał ładunek, okryty płachtami.

- Gospodarzu... Daleko do Ylvar?- Zagadnął Fergal. Oboje ukrywali się pod przepastnymi kapturami płaszczy.

- Do Ylvar? Życie wam nie miłe panie?

- Dlaczego?

- Jedziecie tam i nic nie wiecie co tam się dzieje?

- Najwyraźniej.

- Paie, Ylvar spływa krwią. Ludzie Sorchy dowiedzieli się, że jest tam jakaś znaczna persona. Zdaje się ktoś, kogo Sorchy poszukuje od dawna. Zjechał tam z całą masą swoich rzezimieszków. Powiadają, że był z nim jakowyś mag który mu pomaga.

- Znalazł tego kogo szukał?

- A jużci. Powiadają, że uwięził w lochu. Nie wiadomo czy zostawił przy życiu.

Pod płachtami coś się poruszyło i zamamrotało.

Fergal chwycił róg płachty i znenacka odkrył to, co się poruszyło.

Yalu we własnej osobie. Z antańkiem gorzałki pod pachą i głupkowatym uśmiechem na gębie.

- Co? Co ty tutaj robisz, bardziej?

- Toż to ten sam człek który ocalił mi życie w lesie! Panie! Dowiem się w końcu jak brzmi twoje imię?

- Nie. Jak się tu znalazłeś?

- Ach, panie, długa historia.- Machnął ręką i usiadł na sianie.- Nie wszędzie doceniają mój poetycki talent. Los nas znów połączył. To znak. A ja znów mam na czym grać, będę wam umilał wędrówkę.

Zaraz....- Dotarło do niego, że tajemniczy wybawiciel podróżuje w towarzystwie.- Niewiasta... Gdzie moje maniery! Pani...- Ukłonił się na siedząco. Koło najechało na kamień i wóz podskoczył, a on o mało z niego nie wypadł. Był zwyczajnie pijany.

- Dokąd zmierzasz, bardziej?

- A, gdzie mnie nogi poniosą i dobrzy ludzie zabiorą. Nie mam jeszcze konia, ale wierzę w dobry los. Koń się znajdzie.

- A pewnie, że się znajdzie, tak jak i instrument. Komu go ukradłeś?

- Nie ukradłem! Wypraszam sobie!- Uniósł głowę buńczucznie, po czym wzruszył ramionami i dodał:

- Pożyczyłem.

- A jakże.- Roześmiał się Fergal.
- Panie, a gdzie wy zmierzacie?
- Do Ylvar.
- Panie! Czyście rozum stracili? Do Ylvar? Na pewną śmierć?!
- Wiesz co tam się wydarzyło? Kogo uwięził Sorchą? - Dopytywał, mając nadzieję dowiedzieć się jak najwięcej. Yalu rozejrzał się, jakby się obawiał, że ktoś może podsłuchać co mówi.
- Jeden z mieszkańców, który zbiegł przed niechybną śmiercią, szukał schronienia w karczmie, gdzie akurat ja prezentowałem swoje najpiękniejsze pieśni. Słyszałem, jak opowiadał, że napadli na zamek kasztelana, wymordowali wszystkich. Palili domy, mordowali mieszkańców. Zarzynali jak świnie na ucztę.
- Fergal zacisnął zęby. Poprzysiągł, że odpłaci za każde niewinne życie.
- Sorchę nazywają rzeźnikiem.
- Dlaczego wymordował tych ludzi?
- Szukał kogoś.
- I znalazł?
- Różnie powiadają.
- Gadaj co wiesz, bardziej, tu idzie o coś wielkiego!- Wycodził przez zęby Fergal.
- A powiem, jak mnie przyjmiecie do swojej kompaniji.
- Nie ma mowy.
- To nie powiem.
- Bardziej, bacz, żebym nie stracił cierpliwości... Chcesz iść z nami do Ylvar? Żeby zarżnęli cię jak prosiaka?
- Nie, może nie do samego Ylvar. Na pamięć mamusi, co też ja wyprawiam?!- Zdał sobie sprawę, że zmierza prosto w paszczę demona.
- Gadajże, kogo szukał Sorchą!- Warknął Fergal, mierzając do niego ze sztyletu. Miecz ukryty miał pod płaszczem.
- Podobno kogoś z jakiejś przepowiedni.
- Znalazł?
- Nie wiem. Gadają, że córkę kasztelana w lochu trzyma, a strzeże jej ten mag, który mu towarzyszy.
- Gospodarzu, jedźcie w swoją stronę, a baczcie by nikomu nie opowiadać, żeście spotkali po drodze jakichś wędrowców.
- Tak panie.- Kiwnął głową wieśniak.
- Ej! Zaraz! Zabierzcie mnie ze sobą! Chcę z wami! Pomogę wam!

Dopominał się Yalu, gramoląc się z wozu.

- A na co mi zapijaczony muzykant?

- Paie! Ja może nie jestem jakiś najmądrzejszy, ale głupi też nie.

Przekonasz się. Uratowałeś mnie wtedy w lesie. Chcę się odwdzięczyć. Pomogę wam. Mogę się przydać. Ja się tak nie rzucam w oczy, jak wy.

- Prawda.- Rzekła cicho Cairean.

- Dobrze. Ale jak nas wpędzisz w kłopoty, to zabiję cię bez wahania.- Spojrzał czarnymi oczami spod kaptura w taki sposób, że Yalu strach obleciał. Zaraz mu gorzałka z głowy wywietrzała.

- Tak, panie. - Zeskoczył z wozu, trzymając swoją cytrę. Fergal nie bardzo wierzył w to, że dobrze robi pozwalając temu fajtłapie dołączyć do kompanii. Im więcej ich było, tym bardziej rzucali się w oczy.

Kiedy wieśniak oddalił się na swym wozie, Fergal rzekł twardo do nowego towarzysza:

- Posłuchaj ty mnie zatem, poeto. Cokolwiek usłyszysz i zobaczysz od tej chwili, lepiej, żebyś utrzymał w tajemnicy, bo niechybnie czeka cię śmierć. Nie wiem czy mi się na co przydasz, ale jeśli tak, będziesz lojalny nawet jeśli mieliby cię ze skóry obedrzeć.

- Co ja najlepszego zrobiłem.- Pisnął sam do siebie, ale gorliwie potwierdził, kiwając głową:

- Tak, panie.

- Cairean, musimy się naradzić co dalej.- Mruknął i skierował konia w las, z dala od szlaku.

- Zaraz, a ja?- Krzyknął Yalu.

- Pospiesz się!

Nie odjechali daleko, chcieli tylko ukryć się przed wzrokiem ludzkim. Zsiedli z koni. Kaptur zsunął się z głowy Fergala kiedy ten zsiadał z konia. Dobiegający do nich Yalu po raz pierwszy mógł ujrzeć jego twarz. Ciemną cerę, czarne jak węgiel oczy i długie, proste czarne włosy.

- Panie... Skoro przyjąłeś mnie do swej kompanii, zdradź mi swe imię.

- Fergal, syn króla Barosa.

- Syn króla? To ty żyjesz? Następca tronu... Niech będzie chwała niebiosom! Następca tronu żyje!

- A to jest Cairean. - Wskazał dłonią na swą towarzyszkę, ignorując nadpobudliwość poety. Ona zdjęła z głowy kaptur. Na widok śnieżnobiałej cery i włosów i tych niezwykle błękitnych jak laguna oczu, Yalu oniemiał. Gapił się jak wryty.

Fergal spojrział na towarzyszkę, dając jej znak, by założyła kaptur z powrotem.

- Zamknij usta poeto.

- Eee...- Po raz pierwszy zabrakło mu języka w gębie.

- Znasz przepowiednię o losach świata? Losach królestwa?

- Znam, panie. „Cztery promienie umierającego słońca z czterech świata stron wypuszczone, u źródła życia splecą się w jeden słup ognia, by słońce na ziemię wróciło, by spokój zapanował na wszystkich ziemi.”

- Nadszedł czas, aby się wypełniła.- Mruknął Fergal, nie chcąc niczego więcej tłumaczyć.

- Ale zaraz... Wy ją chcecie wypełnić? Jak? Co ona oznacza?

- Powiedz mi, bardziej, o czym ty śpiewasz te swoje pieśni?- Słyszając to pytanie Yalu ożywił się.

- A to różnie, o pięknych dziewczkach to na poczekaniu układam. O legendach różnych...

- Na przykład jakich?

- O zmartwychwstaniu smoka, demonach które opanowały świat, o strażnikach żywiołów, którzy powrócą, by ocalić ludzkość...

- A nie wydaje ci się, że te wszystkie historie mogą się ze sobą łączyć?

- Ano... Jakby tak na to spojrzeć...

- Nie mam cierpliwości...- Mruknął ze złością książę.

Cairean spojrzała na niego łagodnie, w myślach podpowiadając mu inne rozwiązanie. Fergal podszedł do Yalu bardzo blisko. Poeta sięgał mu pod pachę, albo i jeszcze niżej. Przestraszył się nie wiedząc, co Fergal chce zrobić, a ten dotknął palcem brzegu rękawa jego kabota, który nosił już poważne ślady zużycia. Rękaw zaczął się palić.

- Co?! Co to jest?! Co to?!

Bard spanikował, ale wtedy Cairena zbliżyła się płynnie, jakby łódź sunąca po wodzie i rękaw przestał się palić, a nawet zamarzł. Lekko poparzona skóra ozdyskała normalny kolor i przestała piec. To przeraziło Yalu tak, że zaczął krzyczeć. Fergal powalił go na ziemię, dobył miecza i przyłożył mu do gardła.

- Cicho, mikrusie. Cicho....

-Tak, będę cicho. Wybacz, panie! Będę cicho.- Powtarzał szeptem. Fergal puścił go i schował miecz. Poeta podniósł się z ziemi, otrzepał ubranie.

- Dajcie mi chwilę, cobym oprzytomniał. Muszę sobie to wszystko w głowie poukładać.

- Byle szybko, bo się rozmyślę.

Dał spokój bardowi, choć nie spuszczał go z oka. Musieli się zastanowić co dalej robić.

- Słyszałaś Cairean. Sorchą ściągnął do Ylvar z armią. Nie wiemy jak liczną, ale wystarczającą, by wymordować całe miasto.- Mówił w myślach.- Sami nie damy rady, zwłaszcza, że ktoś mu pomaga...

- Czekać też nie możemy. Uwięził kogoś z nas. Będzie chciał odebrać jej moc. A jeśli posiadzie nasze moce...

- Nie uda mu się.- Odpowiedział.

- Jeśli odbierze je choćby jednemu z nas to nam się nie uda go pokonać. Musimy się spieszyć. Musimy spróbować. Siły natury są po naszej stronie.

- Nie wiemy kim jest mag który mu pomaga, jakie ma moce. A co jeśli nas widzi i słyszy? Jeśli widzi każdy nasz krok?

- Gdyby tak było, już nasłał by na nas swoich rzeźników.

- Prawda. Ale może jesteśmy jeszcze za daleko? Może będzie mógł nas śledzić gdy zbliżymy się do Ylvar? Przygotują zasadzkę.

- To jeszcze nie czas na ostateczne stracie, Fergalu. Wciąż nie jesteśmy w komplecie.

- Otóż to.- Zasepił się. Jak wybrnąć z tej sytuacji? Uwolnić strażniczkę, nie dać się zabić, pojmać, ograbić z mocy.

- Musimy spróbować. I to szybko.- Przypomniała Cairean. Cóż, będą musieli improwizować.

- W drogę!- Zakrzyknął Fergal, wsiadając na konia. Wyciągnął rękę do Yalu, który wciąż jeszcze był blady z emocji.

Do Ylvar było daleko, ale gnali ile sił.

Po drodze spotkali kilku ludzi Sorchy na patrolu.

- Stać! Dokąd jedziecie?- Zapytał jeden z nich. Czaszka dzika na głowie, brudna gęba i aura smrodu to były znaki rozpoznawcze najemników Sorchy.

- Do piekła.

- Do piekła.- Powtórzył i zarechotali.- Znaczy do Ylvar. Jeśli szukacie śmierci, nie musicie jechać aż tam. Pomożemy wam ją znaleźć. Ale zanim pošlemy was do tego piekła, to chętnie bym się rozerwał nieco... Dziewce może darujemy życie... Zależy, czy zabawa nam się spodoba.- Znów zarechotali. Fergal miał za plecami balast w postaci barda z jego instrumentem. Zrzucił go, odpiął płaszcz i dobył miecza, a trwało to tyle co mgnienie oka. Stał pomiędzy Cairean a najemnikami. Yalu chwycił cytrę i schował się za drzewem w bezpiecznej odległości. Fergal uniósł miecz i stała się rzecz dziwna, jakiej się najemnicy nie spodziewali. Na ich oczach ciało Fergala otoczyła czarna zbroja, srebrne zdobione czerwonym klejnotem i taki sam klejnot na czole, w koronie, która zdawałoby się wyłoniła się z jego głowy. Pierwszy raz przemienił się całkowicie, a jego oczy stały się podobne do oczu smoka, z pionową źrenicą, świecące na czerwono. Ludzie Sorchy przerazili się, chcieli uciekać, ale było już dla nich za późno. W jednej chwili ujrzeni przed sobą tego, którego przecież szukali, na którego polowali, a w następnej chwili leżeli na ziemi a ich ciała spływały krwią. Niektórzy mieli odcięte głowy. Konie uciekały w popłochu. Fergal zdołał złapać jednego, za resztą pognęło stado wilków.

Wciąż siedząc w siodle, trzymając wodze drugiego konia, zatrzymał się, spuścił głowę, zamknął oczy. Kiedy je otworzył ponownie, wyglądały już normalnie, a on zamiast zbroi miał swoje zwykłe odzienie.

Spojrzał na Cairean. Była spokojna i bezpieczna.

- Poeto, masz swojego konia. - Zawołał. Yalu ostrożnie wychylił się zza drzewa, ściskając swoją lirę. Był prawie tak blady jak Cairean i trząsał się jak galareta. Fergal puścił wodze drugiego konia i ruszył w dalszą drogę, a Cairean za nim. Yalu nie miał wiele czasu, żeby dojść do siebie. Wgramolił się na konia i pojechał za nimi. Przez resztę dnia nie wydobył z siebie ani jednego słowa. Oni także nie byli rozmowni. W miarę, jak zbliżali się do Ylvar, robiło się coraz zimniej. Na niebie wisały ciężkie chmury, ale deszcz nie padał. Było ponuro. Mijając pierwsze spalone chaty pobliskiej wioski, widzieli trupy ludzi leżące tam, gdzie pozbawiono je życia. Niektóre już napoczęte, przez psy, czy kruki. Ylvar znajdowało się na niewielkim wzgórzu.

- Zatrzymamy się tutaj.- Zdecydował Fergal. Wybrał jedną z ostatnich chat, z której był dobry widok i na gościniec i na wzgórze.

Dach był częściowo spalony, ale ściany mogły ukryć ich przed wzrokiem ludzkim. Konie także wprowadzili do środka. Chata była pusta. Na zewnątrz przy studni leżało ciało starszego człowieka, zapewne gospodarza. Fergal wyrzwał dyskretnie przez małe okno i usiadł na zydlu.

- Poczekamy tutaj aż się ściemni. Yalu, deklarowałeś pomoc, więc teraz się przydasz.

- Ja? Yy...

- Strach cię obleciał?

- A obleciał.

- Fergalu, każdy normalny człowiek by się bał.- Rzekła kojącym głosem Cairean.

- Może znajdę coś na dodanie sobie odwagi...- Yalu zaczął przeszukiwać chałupę. W skrzyni pod siennikiem znalazł dwa antałki wina.

- No, to to ja rozumiem...

- Zostaw. Nie pij, wino się przyda.- Powstrzymał go Fergal.- Jak się ściemni, przedostaniesz się do zamku. Powiesz, że niesiesz wino dla wartowników, strzegących dziewczyny. Dostarczysz im to wino. Miej oczy i uszy otwarte, a nie daj się zabić. Może uda ci się dowiedzieć gdzie ona jest i czy żyje. Miejmy nadzieję, że dwa antałki wystarczą, żeby ich uspić...

- Tak, panie. Co rozkażesz. A jeśli mi się nie uda? Jeśli mnie złapią? Zabiją?

- Będziemy musieli poradzić sobie inaczej.

- Pięknie! Za co mnie ten los tak doświadcza!

- Nie dramatyzuj poeto. Chyba, że wolisz się zamienić ze mną.

- A nie, co to to nie. Wybacz, panie, ale każdy z nas swoje przeznaczenie ma i niechaj tak ostanie.

- Zatem czekamy...

Siedzieli w chacie, milcząc. Co jakiś czas Fergal zerkał tylko przez okno, czy aby ktoś się nie zbliża. Cairean martwiła się o powodzenie całej misji. Wszystko mogło pójść nie tak. Spuściwszy wzrok, bawiła się rękawem sukni, oparta plecami o ścianę chałupy. Fergal podszedł do niej. Nie było sensu wmawiać jej, że wszystko będzie dobrze. Wszystko mogło pójść źle. Wszystko. A oni musieli stawić temu czoła. Ta delikatna dziewczyna zdawała się być bezbronna, zleżna od niego. Musiał ją chronić za wszelką cenę. Stał tak blisko, że ich

oddechy mieszały się. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy z ufnością, ale i wielką obawą. Tyle pytań i wątpliwości wisiało w powietrzu. Fergal dotknął jej twarzy dłonią, chciał ją pocałować, ale w tym momencie cofnęła się i syknęła z bólu. Jego dotyk poparzył ją. Tego żadne z nich się nie spodziewało.

- Wybacz mi.- Powiedział cicho i w myślach dodał:

- Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Wiem, Fergalu. To nic.

Sama siebie mogła przecież uleczyć z takiego poparzenia. Jednak to oznaczało, że nie mógł jej dotykać, nie mógł się do niej zbliżyć tak, jak by tego chciał, by okazać jej, jak droga stała mu się jej obecność. Czuł że i on był jej drogi. Nie musiał tego słyszeć w jej myślach.

Widział to w spojrzeniu tych błękitnych oczu.

- Skupmy się na uwolnieniu strażniczki.- Przypomniła.

- Gdy zapadł zmrok, Yalu z duszą na ramieniu i dwoma antałkami wina wyruszył do zamku. Bramy wjazdowej nikt nie strzegł. Na pierwszym dziedzińcu leżało kilka trupów. Jeśli mu się nie uda, skończy tak samo. Wlaźł do zamku wejściem dla służby. Ledwo znalazł się w środku, natknął się na jednego z najemników.

- Stój! Coś ty za jeden, czego tu chcesz?

- Mam wino dla wartowników co strzegą kogoś w lochu. Niechże i oni się napiją. Przed kim mieliby strzec więźnia, jak tu żywej duszy poza wami, panie.

- A racja. O suchych pyskach od kilku dni siedzą. Chodź, wieśniaku, zaprowadzę cię.

Yalu próbował opanować dygotanie całego ciała, kiedy szedł za najemnikiem wąskim korytarzem, po stromych schodach w dół.

Powiew zimnego stęchłego powietrza otrzeźwił go trochę. W lochach śmierdziało stęchlizną i moczem. Zimno było przejmujące, a wilgoć sprawiała, że zimno przechodziło przez odzienie, do samego szpiku kości. W uszach słyszał, jak wali mu serce. Lochy były puste. Tylko przy jednym, przy stole siedziało czterech wartowników, grając w kości.

- Hej, wy! O co gracie?- Zapytał ten, który prowadził Yalu.

- O to kto pierwszy wychędoży tę rudą ślicznotkę, kiedy już Sorcha z nią skończy.

- Głupcy! Kiedy Sorcha z nią skończy, trupa będziecie chędożyć.

Macie tu wina, coby wam w gardłach nie zaschło. Wieśniaku!-

Popchnął Yalu na stolik, a ten postawił na nim antałki owinięte w płachtę. Nagle nie wiadomo skąd pojawiła się tajemnicza postać. Człowiek chudy, o tłustych siwiejących włosach, w długim płaszczu w kolorze brunatnym.

- Czekaście.- Syknał i odrzucił płachtę na ziemię. Przyjrzał się bacznie Yalu, spod opuszczonych powiek, jakby chciał przejrzeć go na wylot. Odkorkował antałek i powąchał.

- Coś za jeden? Kto cię przysłał z tym winem?

- E... Ja sam. Jestem poetą, na najemnika się nie nadaję, ale nie jestem głupi. Wolę trzymać z tymi, którzy wygrywają.

Tajemniczy człowiek uśmiechnął się półgębkiem.

- Odważny jesteś, poeto.

- Będę mógł potem układać o tym pieśni, sławiąc potęgę króla Sorchy po wszystkie krańce królestwa.

Siwiejący mag napił się łyka. Gdyby wino zawierało jakąkolwiek truciznę, wyczułby ją. Jednak było czyste.

- Zwykle wino panie. Zeszłoroczne. Dobrze czynisz panie, trzeba być ostrożnym.- Zerknął do lochu, którego pilnowali, ale zobaczył tylko rąbek zielonej sukni na słomie.

- Na co jeszcze czekasz? Zrobiłeś co miałeś zrobić, teraz zjeżdżaj, póki nie zmieniłem zdania.- Warknął mag, a Yalu skwapliwie skorzystał z jego łaskawości i prysnął czym prędzej.

Ostatnie metry pokonał biegiem. Wpadł do chałupy zziębnięty.

- Gadaj!- Fergal nie dał mu złapać oddechu.

- Pomału, niechże odsapnę.

- Widziałeś ją?- Poeta pokręcił przecząco głową.

- Ale jest tam, widziałem skrawek sukni. Strzeże jej czterech najemników i taki dziwny typ. Pewno ten mag.

- Słyszałeś jakieś imiona?

- Nie, ani jednego.

- A jak ten mag wyglądał.

Opisał go dokładnie, łapiąc powietrze, jak ryba wyciągnięta z wody.

- Podejrzewa coś?

- Nie, chyba nie. Potrafię być przekonujący.

- Jeśli byłeś za bardzo przekonujący, to też nie dobrze. Mógł cię przejrzeć.

- Ja nie potrafię czytać w myślach.

- Yalu, bardzo dobrze się spisałeś.- Uśmiechnęła się Cairean.

Odczekali jakiś czas i ruszyli w ryzykowną misję. Przekradli się pod osłoną nocy, pod same mury zamku. Księżyc w nowiu pomagał im, by przemknęli niezauważeni przez nikogo. Oprócz kilku wartowników na murach, nikt się nie kręcił po dziedzińcu. Tylko trupy śmierdziały. Słodkawy duszący fetor trudny był do wytrzymania. Fergal kiwnął głową do swej towarzyszki. Uniosła dłonie i po chwili całe zamkowe wzgórze zaczęła otaczać mgła, która gęstniała i gęstniała, tak, że z trudem mogli zobaczyć siebie nawzajem.

- Chyba przesadziłam.- Pomyślała Cairean. Fergal ruszył pierwszy, a ona za nim, trzymając się jego płaszcza. Dostali się do wejścia dla służby. Wartownik spał, siedząc na ziemi. Fergal o mały włos utknął by na jego wyciągniętych nogach. Cairean rozpyliła gęstą mgłę także wewnątrz zamku, co zaalarmowało Volodyra. Zrozumiał, że coś się dzieje i pobiegł do lochów, ale oni już tam byli pierwsi. Lochy nie były szeregiem cel zamykanych na ciężkie ryglowane drzwi, lecz metalowe ciężkie kraty z zamkami zamykanymi kluczem. Fergal chwycił pręty, rozgrzał je w dłoniach tak, że stały się plastyczne i mógł je rozchylić. Wtedy do lochów wpadł Volodyr. Cairean próbowała go powstrzymać, ale nie na długo to wystarczyło. Fergal przyłączył się do niej i razem zaatakowali maga to ogniem, to lodem. On jednak odpierał ataki. Zrozumieli, że jest zbyt potężny. Nagle pomiędzy nimi stanął Madron. Zjawił się znikąd, jakby materializując się z tej mgły, którą wytworzyła Cairean.

- Ja sobie dam z nim radę, uciekajcie.- Rzekł do strażników. Lochy wypełniły potężne moce, ścierając się w próbie sił. Fergal wszedł do lochu, wziął na ręce leżącą na słomie kobietę. Była bardzo słaba, rozpalona. Nie miała siły iść. W trójkę rzucili się do ucieczki. Gdy wypadli z zamku, skryli się od razu w zaroślach.

- Cairean, ona potrzebuje twojej pomocy...

- Nie tutaj. Zobaczą światło. Zanieś ją do chałupy.

Yalu czekał w chałupie wciśnięty w najciemniejszy kąt, kiedy wpadli do środka. Fergal ułożył kobietę na sienniku. Była rozpalona gorączką, pociła się mocno.

- Zdołasz jej pomóc?

- Spróbuję. Ale stracę siły. Nie będę mogła się bronić, gdyby ruszyli w pościg za nami...

- Masz rację. Najpierw ukryjmy się w lesie.

- Nie, zrobię to tutaj, a potem wsadzisz mnie na konia i ujdziemy do lasu.

Zgodził się. Cairean usiadła na brzegu siennika, położyła jedną dłoń na czole rudowłosej kobiety, a drugą na jej brzuchu, szepcząc zaklęcia w prastarym języku. Yalu gapił się coraz bardziej zdumiony, widząc, jak chałupę rozświetla blade światło. Źródłem tej poświaty była Cairean. Powietrze naelektryzowało się. Światło spłynęło z Cairean, na kobietę i rozeszło się po jej ciele. Cairean zachwiała się. Byłaby upadła na klepisko, gdyby Fergal jej nie podtrzymał. Pomógł jej oprzeć plecy o ścianę.

Tymczasem kobieta w zielonej sukni, z burzą rudych loków i oczami koloru miodu podniosła się. Była zupełnie zdrowa.

- Dziękuję.- Powiedziała.

- Jak ci na imię?- Zapytał Fergal.

- Erianthi, książę...

- Nie pozbawili cię mocy.

- Próbowali, ale wytrzymałam.

- To dobrze. Musimy uciekać. Sorcha wysłała za nami całą swoją armię. Weźmiesz konia Cairean.

Kiwnęła głową. Po krótkiej chwili jechali już w stronę lasu. Fergal, przed sobą trzymając omdlewającą Cairean, Eilidh a za nimi Yalu. Gnali w stronę lasu.

W końcu zatrzymali się w jarze, nad rzeką, w kamienistym trudnym terenie. Fergal miał nadzieję, że tu nie przyjdzie im do głowy szukać. Ułożył Cairean na miękkim mchu.

- Odpocznij.

- Dziękuję.

- Sorcha będzie wściekły. Zagraliśmy mu na nosie...- Mruknęła rudowłosa.

- Mam nadzieję, że Madron wyszedł zwycięsko z tego pojedynku... Widać, że tamten jest silny...

- Volodyr? Jest silny, ale nie posiadał takiej wiedzy i doświadczenia, jak Madron. Jest impulsywny. Brak mu cierpliwości.

- To dobrze. Każda słabość wroga jest naszą siłą. Prześpijcie się, ja będę czuwał.

Pokładli się na ziemi, owinięci płaszczami. Nikt jednak nie spał. Tej nocy tyle się wydarzyło, że nie sposób było zasnąć.

Noc minęła szybko, przed świtaniem, gdy jeszcze niebo było czarne, Fergal oddalił się nieco od towarzyszy. Zdjął odzienie, złożył na kamieniu i wszedł do wody. Yalu spał, pochrapując cicho. Erianthi leżała z zamkniętymi oczami, ale całkiem świadoma. Cairean wstała cicho. Poszła w ślad za Fergalem. Zostawiła swoje odzienie na brzegu i weszła do wody.

- Fergalu?- Przywołała go w myślach. Tuż przy niej wynurzył się z wody. Jego żywiołem był ogień, ale był też człowiekiem i to sprawiało, że bez przeszkód mógł cieszyć się wodą.

- Zanurz się ze mną pod wodę.- Rzekła w myślach. Zrobił to.- Dotknij mnie.

Wyciągnął rękę i dotknął jej, nie czyniąc jej krzywdy. Uśmiechnął się. Jednak był sposób na to aby mógł dotknąć jej skóry. Pocałował ją a jego pocałunki jej nie parzyły. Porwał ją w ramiona i objął mocno. Mogli się nacieszyć tą chwilą.

Gdy niebo zalało się rumieńcem, zwiastującym rychły wschód słońca, wyszli z wody. Najpierw on, a kiedy wrócił do towarzyszy, po chwili dołączyła ona. Erianthi udawała, że śpi. Musiała się pilnować, by o niczym nie myśleć.

- Wiem, że nie śpisz.- Rzekł w myślach Fergal.- Trzeba się zastanowić co robić dalej. Wciąż nie jesteśmy w komplecie...

- Nie jesteśmy, bo Zifard udał się na wyprawę, aby cię odnaleźć.

- Mnie? Skąd wiesz?

- To mój rodzony brat.- Oświadczyła, otrzepując suknię z suchych liści, które się do niej przyczepiły.

- Istnieje jakiś sposób, aby wezwać go do powrotu?- Zapytała Cairean. Rozmawiali nie używając słów, więc Yalu spał w najlepsze, nie niepokojony.

- Co to za jeden?- Zapytała Erianthi.

- Przyczepił się do mnie po drodze, ale jest lojalny i potrafi być pożyteczny, jeśli chce.

- Byle nie był balastem. Musimy zgromadzić armię jeśli mamy stanąć do walki z legionami Sorchy.

- A twój brat musi wrócić, jeśli mamy stanąć do walki z Sorchą i Volodyrem i przywrócić ład na świecie.

- Spróbujmy go wezwać, może nas usłyszy.

Erianthi podeszła do drzewa, położyła na nim dłoń. Na jej czole pojawiła się korona z lśniącym kamieniem mieniącym się odcieniami

zieleni i brązów. Kiedy Cairean dotknęła dłonią taflę wody, na jej czole także ukazała się korona z białym opalem. Fergal podniósł rękę w górę, a na jego nadgarstkach ukazały się srebrne karwasze. Odwrócił rękę tak, by czerwony kamień skierować na słońce. Wszyscy troje całą swą moc skupili na tym, aby przekazać wiadomość Zifardowi. Popłynęła wodą, pobiegła ziemią i poleciała promieniami słońca.

- Zrobiliśmy co mogliśmy.- Rzekła Erianthi.

Fergal cisnął patykiem do Yalu, który zerwał się ze snu.

- Co? Kto?

- Wstawaj poeto. Nie możemy tu zabawić zbyt długo.

- Chcesz ruszać w ciągu dnia? To zbyt niebezpieczne. Poza tym...

- Tutaj też nie jesteśmy bezpieczni,,, Erianthi.

- Daj mi szansę.

Rudowłosa podeszła do skalnej ściany wysokiego jaru i obejrzała ją dokładnie. W skałach były wąziutkie szczeliny. Tak małe, że pergaminu nie wciśnie. Odeszła jeszcze kilka kroków, szukając odpowiedniego miejsca. Yalu obserwował ją, ale nie po to, by zrozumieć co robiła. Obserwował jak się porusza. Natura wyposażyła ją hojnie. Biodra miała do rodzenia dzieci, a piersi do karmienia. Taka kobieta, to dopiero marzenie. I do tego ładna... Bardzo. Bardzo ładna.... Erianthi zerknęła na niego z lekkim uśmiechem, rozbawiona jego myślami. Znalazła w końcu odpowiednie miejsce, gdzie za skałą wyczuła jaskinię. To znacznie ułatwiło jej zadanie i nie wymagało użycia całej energii, jaką dysponowała. Stała przy skalnej ścianie, zaparła się o nią rękami. Ziemia zadrżała pod stopami, a ona dała im znak, aby podeszli. Ich oczom ukazała się grota w skale. Wejście pozwalało ukryć się tam razem z końmi. Zadbana też, aby wejście do groty zasłoniła gęsta roślinność. Fergal rozpałił ognisko bez użycia drewna. Yalu wziął swoją cytrę i zaczął cicho grać od niechcenia. Był świadkiem niewiarygodnych wydarzeń. Tylko on mógł układać pieśni, które zmieniają się w legendy przekazywane przez pokolenia, tymczasem nie potrafił ubrać w słowa tego wszystkiego co widział. Na myśl co go jeszcze czeka z tą czeredą, ogarniał go strach.

- Bardziej, jeśli chcesz, możesz w każdej chwili pójść w swoją stronę.- Powiedział spokojnym głosem Fergal.- Przed nami misja, w której ty niewiele pomóc możesz, a życie możesz stracić łatwo. I tak już dużo widziałeś, będziesz miał o czym śpiewać.

- Bacz tylko, coby nie śpiewać o tym w obecności najemników i szpiegów Sorchy.- Dodała rudowłosa.

- Żeby to było takie łatwe...- Pomyślał Yalu. Erianthi spojrzała na Fergala i wzruszyła ramionami. Do jaskini wpadł silny podmuch wiatru, a z niego zmaterializował się człowiek. Mężczyzna, nie tak potężny jak Fergal, ale jego sylwetka także zdradzała siłę. Miał jasnobrązowe włosy sięgające karku, układające się w fale, a w zielonych oczach tliły się wesołe iskierki. Uśmiechał się szeroko.

- Zifard braciszku!- Erianthi uściskała go.- Usłyszałeś nas.

- Usłyszałem, a jakże. Moja świta jest w drodze. Witajcie. Piękna Cairean, księżę...- Przywitał się z nimi.

- A ty kim jesteś, przyjacielu.

- Zwą mnie Yalu. Jestem poetą. Może o mnie słyszałeś, panie...

- Nie słyszałem. A to ci niespodzianka. Poeta. Będzie walczył cytrą?

- Yalu jest sprytny, może się przydać.- Rzucił Fergal.- A twoja świta?

- Mam dwudziestu ludzi. Szkolonych.

- Zifardzie... Dobrze, że wyjechałeś wcześniej... Ylvar...

- Co Yivar?

- Wszyscy nie żyją...- Rzekła łamiącym się głosem rudowłosa. Miała łzy w oczach. Zifard przytulił ją odruchowo. Fergal doskonale wiedział co czuje Erianthi. Wciąż pamiętał rzeź na zamku swego ojca, jakby to było wczoraj.

- Dość już krwi przelał ten szatański pomiot. Musimy położyć temu kres.- Rzekł cicho.

- Potrzebujemy lepszej kryjówki. Takiej, w której będziemy mogli zorganizować armię.- Powiedział Zifard, siadając przy ognisku.

- Sanktuarium matki Ainhte.- Rzucił Fergal. Miejsce to chroniły prastare zaklęcia, tam mogli być bezpieczni i przygotować się do ostatecznego starcia.

- Trzeba rozesłać wici.

Fergal wyszedł z groty. Chciał przez chwilę побыć sam, pomyśleć w spokoju. Oparł się plecami o drzewo i wbił wzrok w szybko płynący nurt rzeki. Gdyby okoliczności były inne, czasy spokojniejsze... Ale swoje pragnienia trzeba było odłożyć na później, nawet jeśli to później miałyby nigdy nie nadejść. Najważniejsze było królestwo. Myślał o tym co ich czeka. Jak będzie wyglądało ich starcie z Sorchą i Volodyrem. Jak się skończy?

Erianthi podeszła do niego. Łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Przepowiednia mówi o tym, jaki los nas czeka. Mówi, że wygramy tę wojnę.

- Nawet przepowiednie nie wiedzą wszystkiego... - Westchnął.

- Oddałabym wszystko, żebyś patrzył na mnie tak, jak patrzysz na nią.- Szepnęła. Uśmiechnęła się smutno i wróciła do groty.

Gdy został sam, przywołał do siebie elfy. Te były nieufne, ale na wezwanie wyłoniły się z zieleni lasu, stając w pewnej odległości od potężnego mężczyzny.

- Czego chcesz od nas strażniku?- Zapytał elf dzierżący długą względem własnego wzrostu drewnianą laskę, zakończoną zielonym kamieniem.

- Potrzebuję waszej pomocy.- Przykucnął, aby być na tym samym poziomie, co elfy. Zrobił to na znak szacunku.

- Nadszedł już czas wyzwolić kraj spod władzy zła i przywrócić właściwy porządek rzeczy. Sorcha ma ogromną armię, której sami nie zdołamy stawić czoła. Potrzebujemy każdego zdolnego do walki stworzenia. Armię uformujemy pod ochronnym skrzydłem kapłanki Aithe. Proszę, udajcie się do niej i powiadomcie ją. Powiadomcie każdego, kogo możecie. Przede wszystkim ludzi. Ale baczcie, aby nic złego was nie spotkało. Sorcha wszędzie ma oczy i uszy.

- Zrobimy o co prosisz, strażniku.

- Dziękuję, przyjaciele. - Skłonił głowę przed nimi.

Strażnicy z Ylu na doczepkę, wyruszyli w drogę do kapłanki Aithe. Wici rozeszły się po całym królestwie, ale najpierw trafiły do Aithe. Rzecz jasna nie była zadowolona, że z jej cichego sanktuarium strażnicy chcą urządzić koszary, gdzie jednak mieliby się organizować, jeśli nie tam. To było ostatnie miejsce, do którego armia Sorchy jeszcze nie dotarła. Co nie znaczyło, że nie dotrze. Kiedy wieść dotrze do Sorchy, ten za wszelką cenę będzie chciał odnaleźć świątynię. Trzeba było wzmocnić ochronę tego miejsca, a w tym mógł pomóc tylko Madron.

Gdy go wezwała, przybył natychmiast, niczym zjawa materializując się w jej komnacie. Ostatnia potyczka z Volodyrem pozostawiła swe trwałe ślady, na starcu. Wyglądała o wiele mizerniej, skórę miał szarą. Zaniepokoiło to matę Aithe.

- Witaj Madronie.

- Witaj kochana Aithe. Wezwałaś mnie, więc jestem.
- Mniemam, iż wiesz w jakim celu chcę się z tobą tak niezwłocznie widzieć...
- Tak, wiem.
- Lecz widzę, że nie wyglądasz najlepiej... Masz dość siły by stawić czoła temu, co nas czeka?
- Volodyr jest silny, ale nie dość, by stawić czoła temu, co dla niego szykuje. Wpierw zajmijmy się ochroną twego sanktuarium, moja droga. Nie ma na co czekać.

Duch i wola zwycięstwa były u Madrona znacznie większe, niż siły cielesne, ale zdawał się to całkowicie ignorować. Aithe nie przestała się martwić, po jego deklaracji. Wręcz przeciwnie.

Tak, jak rzekł Madron, nie marnowali czasu. Od razu poczęli wzmacniać ochronę sanktuarium, prastarą, najsilniejszą magią. Dzięki niej do tego miejsca trafiał tylko ten, kto miał dobre zamiary. Intruzi nigdy nie mogli odnaleźć drogi i trafić tutaj.

Volodyr był wściekły po tym, jak strażnicy z pomocą Madrona zdołali go przechytrzyć, uwolnili Erianthi i uciekli. Jeszcze bardziej wściekły był Sorch, nie śmiał jednak mścić się na magu. Mogło mu się to nie opłacić. Volodyr miał plan, jak pokonać strażników. Musiał stworzyć liczniejszą armię i aby to uczynić, sięgnął po najczarniejszą magię. Miał swój plan na pokonanie Sorchy. Nie zamierzał się z nim dzielić władzą i mocą. Naiwny i zaślepiony rządzą panowania nad światem Sorch nawet nie podejrzewał, że Volodyr wydał już wyrok i na niego. Tymczasem strażnicy wyruszyli w drogę do świątyni Matki Natury, którą opiekowała się matka Aithe. Spokój jednak nie trwał długo... W środku lasu, nie wiadomo skąd, pojawili się ludzie Sorchy. Zupełnie, jakby wyrosli spod ziemi. Nikt nie słyszał, żeby się zbliżali, a przecież kilkunastu konnych słychać z daleka. To zaniepokoiło Fergala, nie było jednak czasu na zastanawianie się jak to możliwe. Wszyscy czworo gotowi byli do walki, nawet Cairean, która mimo wątlej postury i delikatnego usposobienia, również potrafiła posługiwać się mieczem. Nim najemnicy sięgnęli po miecze, Fergal zaatakował. Kilku pierwszych jednym machnięciem ciał w korpus. Poprzewracali się, ale

zaraz wstali, a żadnego cięcia nie było na nich widać. Było jasne, że Volodyr maczał w tym pace i miecz niewiele tu pomoże.

- Co u diaska?- Przyklękła Erianthi, gdy kolejni najemnicy, którzy powinni paść martwi od ran, wstawali i walczyli dalej.

- Srebro!- Krzyknął Fergal i walcząc z napastnikami jedną ręką, drugą sięgnął po drugi miecz, wykonany w całości ze srebra pochodzącego z elfickich kopalni. Cała czwórka sięgnęła po takie same miecze. Fergal zaszarżował, odciął dłoń jednego z przeciwników. Ręka natychmiast szerniała, jakby zamieniała się w kamień. Przez bardzo krótką chwilę Fergal sądził, że się udało, jednak ręka zaczęła odzyskiwać normalny kolor, wydłużyła się, na nowo pojawiły się palce. Dłoń błyskawicznie odrosła.

- To czarna magia!- Krzyknął. W tym momencie cała czwórka zeskoczyła z koni, które uciekły gdzieś. Zbroja jakby wyłoniła się z ich ciał, spod skóry. Stojąc plecami do siebie wyciągnęli do przodu ręce. Sługusy Sorchy, otaczający ich kręgiem, cofnęli się. Ogromna energia wypełniła las białym oślepiającym światłem. Kiedy opuścili ręce i światło rozmyło się w powietrzu, po wojownikach nie było ani śladu.

- Poszło łatwiej, niż się spodziewałem. - Stwierdził z zadowoleniem Zifard.

- Zbyt łatwo.- Mruknął Fergal. Volodyr chce nas osłabić. Tworzy własnych wojowników. Zapewne już wie, że zostali pokonani. Będzie tworzył kolejnych, lepszych i groźniejszych.

- Tak sądzisz?- Zapytała Erianthi z troską.

- Madron mnie o tym uprzedzał. W każdej chwili musimy się spodziewać kolejnego ataku.

- Skąd miałby się o nas dowiedzieć?- Kpił Zifard.

- No, nie wiem, może ma magiczną szklaną kulę w której wszystko widzi?- Odparł Fergal z nutą cynizmu w głosie.

- Szklaną kulę? Daj spokój, szklane kule istnieją tylko w bajkach dla dzieci.- Śmiał się Zifard, lecz Fergal poirytowany zbył to milczeniem. Nie zamierzał wdawać się w żadne słowne potyczki.

- Trzeba przywołać konie.

- A gdzie jest Yalu?- Zapytała nagle Cairean. Rozglądali się, ale nigdzie go nie było. Tym lepiej, pomyślał Fergal. Nie będą musieli nadstawiać karku dodatkowo, za niego.

- Jak możesz, Fergalu. Jest może niezbyt rozgarnięty, ale to dobry człowiek.- Upomniała go Cairean w myślach.
- Ot co. Nierozgarnięty. Lepiej, żeby trzymał się z daleka od nas, będzie bezpieczniejszy.
- Nie można się z tym nie zgodzić.- Przyznała Erianthi. Cairean przywołała konie szeptem, a one wyloniły się z lasu i wróciły całkowicie spokojne. Mogli ruszyć w dalszą drogę. Yalu nadal nigdzie nie było.

Zaczynało już zmierzchać, gdy Cairean przemówiła, przerywając długą ciszę.

- Martwię się o niego...
 - Coś mi mówi, że jest cały i zdrowy i siedzi już w jakiejś karczmie przy antalku piwa. On jest jak kot, zawsze spada na cztery łapy.- Odparł Fergal. Erianthi rozejrzała się wokół, po lesie.
 - To dobre miejsce na nocleg. Rozbijmy tu obóz.
 - Nie ma tu żadnej rzeki.
 - Po co ci rzeka? Wykąpiesz się jak dotrzemy do sanktuarium.
 - Jedźmy dalej.- Uparł się książę. Niebo ściemniało, przedzieranie się przez las stało się trudne z uwagi na ciemności, trudne do rozpoznania przeszkody i odległość od nich.
 - Fergalu, czy naprawdę nie widzisz braku sensu w dalszej podróży?- Niecierpliwiała się Erianthi.
 - Spójrz.- Wskazał palcem blade niebieskie światło kryjące się w zaroślach.
 - Co to?- Zifard natychmiast się ożywił.
 - Jezioro Leptirii. Tam będziemy bezpieczni i odpoczniemy.
 - Jezioro Leptirii...- Uśmiechnęła się Cairean. Ruszyli nieco szybciej w tamtym kierunku.
- Musieli przedzierać się przez kolczaste zarośla, które raniły skórę koni. Wyższe gałęzie smagały ich po twarzach. Niebieska poświata zbliżała się, aż ich oczom ukazał się widok niezwykły.
- Jezioro, którego woda wydawała się świecić słabym niebieskim światłem i to ona była źródłem tej poświaty, która ich tu przyciągnęła. Wokół jeziora rosły najróżniejsze kwiaty i rośliny, wydzielające delikatny, przyjemny zapach, a nad nimi latały owady, których odwłoki świeciły w ciemnościach.
- Jak tu pięknie....- Zachwyciła się Cairean.

Zsiedli z koni i pozwolili im chodzić wolno wokół jeziora. Cairean przykucnęła na brzegu i zanurzyła dłoń w wodzie. Wtedy na samym środku jeziora woda zaczęła się poruszać i wyłoniła się z niej postać, która chwilę unosiła się ponad wodą. Najpierw niewyraźna, rozmyta, aż w końcu przybrała postać kobiety, ze skrzydłami motyla. Widząc białą postać Cairean podfrunęła szybko i stanęła na ziemi bosymi stopami.

- Kuzynko kochana!

Obie padły sobie w ramiona.

- Leptiria...- Szepnął zafascynowany Zifard, wpatrując się w dziwną postać odzianą w materię tak ciekłą, że żaden człowiek nie byłby w stanie stworzyć tak delikatnej tkaniny. Owy materiał nie zakrywał zbyt skutecznie, może dlatego obaj z Fergalem wpatrywali się w to niezwykle zjawisko.

- Co cię sprowadza do źródeł, kuzynko?- Zapytała śpiewnym głosem Leptiria.

- Zmierzamy do Ainthe.

- Och, książę...- Leptiria spojrzała na Fergala świecącymi oczami w których kryły się barwy fuksji i niezapominajek. Skłoniła się z wdziękiem. Fergal również skłonił głowę.

- Czyli nadszedł czas aby wypełniła się przepowiednia...

- Tak. Zdrożeni jesteśmy. Możemy spocząć na brzegu?- Zapytał.

- Oczywiście, panie. Dlaczego pytasz, skoro to wszystko co widzisz jest twoją własnością? Możesz mieć wszystko czego tylko pragniesz.

- To, czego pragnę najbardziej nie jest dla mnie osiągalne.-

Odruchowo zerknął na Cairean. Nie widział jeszcze u niej tak promiennego uśmiechu. Widocznie spotkanie z kuzynką dało jej wiele szczęścia. Leptiria dostrzegła to króciutkie spojrzenie i wszystko zrozumiała. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Wszystko jest osiągalne. Wystarczy tylko znaleźć sposób.

Rozgośćcie się. Nabierzcie sił i mocy, nim ruszycie w dalszą drogę. Do zobaczenia.- Uśmiechnęła się, wleciała prosto w taflę wody i zniknęła.

Ułożyli się do snu na brzegu jeziora. Cairean czekała, aż wszyscy zasną.

Wstała i cicho oddaliła się na przeciwny brzeg jeziora. Fergal także nie spał. Długo czekał na taką okazję. Odszedł nieco na bok, zdjął odzienie i wskoczył do wody. Nie była nazbyt zimna, przyjemna,

zdawała się otulać jego ciało. Popłynął na drugi brzeg. Gdy był już na środku, coś wciągnęło go nagle pod wodę. Otworzył oczy i ujrzał Cairean, uśmiechniętą i taką piękną. Dotknął jej bladej twarzy, a ona obdarzyła go długim, słodkim pocałunkiem. Zabrakło mu powietrza, wynurzył się z wody. Ona także wystawiła głowę nad wodę.

- Cairean... Czy tylko tak możemy dzielić szczęście?- Zapytał.

- A jeśli tak? Jeśli tylko tutaj jest to możliwe?

Chwycił ją i całował z taką pasją, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Tutaj, w tym jeziorze mógł być tak blisko niej, jak kochanek blisko swej kochanki. Tylko tu zima i lato mogły się spotkać i złączyć w jedną całość, woda i ogień mogły współistnieć ze sobą. To szczęście zakłuciła tylko jedna myśl. Fergal był nie tylko strażnikiem, ale i królem. Po śmierci ojca to jemu należał się tron, który przywłaszczył sobie Sorcha. Nie mógł więc zostać tu z nią na zawsze i cieszyć się wspólnym szczęściem. Być może mieli tylko tę jedną jedyną noc... A ta noc była taka krótka...

Wschodzące słońce rzucało na wody jeziora różowe światło, gdy Fergal wyszedł na brzeg i wciągnął portki. Erianthi chłoneła go wzrokiem, oparta o drzewo. Jej oczy dostrzegały każdą kropelkę wody spływającą po nagiej piersi. Długie czarne włosy ociekały wodą. Cairean nigdzie nie było.

- Wiesz, że to nie możliwe...- Rzekła do niego w myślach. Nic nie odpowiedział. Wykręcił włosy, niczym koszulę po praniu. Erianthi zbliżyła się, położyła mu dłoń na piersi.

- Widzisz? Ziemia się z ogniem nie kłuci. Ziemia się ogniewi poddaje... To ja jestem dla ciebie. Nie ona...

Nadal milczał. Ani jedna myśl nie uwolniła się, by dać jej jakąkolwiek odpowiedź.

- Łód nigdy nie będzie gorący... Nie będzie taki...

Wspięła się na palce i pocałowała go. Przylgnęła do niego całym ciałem. Pozwolił jej na to. Kiedy oderwała się, by zobaczyć jego reakcję, po prostu sięgnął po koszulę i założył ją.

Erianthi oczekiwała jakiejkolwiek reakcji. Tego, że ją obejmie i już nie wypuści z ramion, albo tego, że ją odtrąci. A on nic. Zupełnie nic. Jak śmiał ją zignorować?!

Złość w niej zakipiała. Spojrzała na korzenie drzewa u jego stóp i nagle korzenie wydostały się z ziemi, oplotły jego nogi i zaczęły wciągać pod ziemię.

- Co robisz?

Nie chciał wobec niej używać siły, nie chciał się bronić, ale nie żartowała. Urażona i zła wyładowywała na nim cały swój zawód. Korzenie zaczęły oplatać jego klatkę piersiową, uniemożliwiając oddychanie. Musiał zareagować. Zamienił się w płomień ognia, uwalniając się z ciasnych więzów, a korzenie spłonęły.

- Erianthi! Chodź ze mną!- Chwycił ją za ramię i odciągnął z dala od jeziora.

- Posłuchaj, Erianthi... Jesteś... Piękną kobietą. Twoje ciało jest... Zachwycające. Dlatego proszę, nie uwodź mnie. Bo mogę nie mieć tyle woli, aby ci się oprzeć.

- Nie opieraj się.

- Rzecz w tym, że moje serce... Oddałem je Cairean. Nie planowałem tego, nie chciałem, ale stało się, a z taką magią nikt nie wygra.

- Chcesz być skazany na krótkie chwile bliskości pod wodą? Na to, że nie będziesz mógł jej dotknąć, gdy będziesz chciał? Nie przytulisz jej nagiej nocą w łóżu? Zawsze będzie was dzielić jakaś granica.

Odzienie, odległość. Tego chcesz?

- Nawet jeśli tak będzie wyglądało nasze życie, to trudno. Nic nie poradzę, że moje serce tak wybrało. I wybrało na zawsze... Chcesz być skazana na życie u boku kogoś, kto nie da ci tego, na co zasługujesz? Dzielić łóżę z kimś, kto będzie trzymał w ramionach ciebie i myślał o kimś innym? Nie mógłbym ci tego uczynić, Erianthi, bo ty zasługujesz na to, aby ktoś kochał ciebie całym sercem i uczynił ciebie centrum swego życia. Jestem pewien, że jest ktoś taki i gdy przyjdzie czas, los was połączy.

W oczach Erianthi pojawiły się łzy. Jedna z nich wymknęła się spod powieki i popłynęła po policzku. Fergal otarł ją kciukiem.

- Jesteś zbyt cudowna, by cię krzywdzić.- Szepnął i wrócił nad jezioro. Cairean i Zifard stali na brzegu, wpatrując się w wodę. Mimo odległości, słyszeli oboje tę rozmowę. Cairean posmutniała. Miniona noc była najpiękniejszą magią. Jednak czy to miało sens? Erianthi miała rację...

- Powinniśmy ruszać w drogę.- Rzekł Fergal przerywając ciszę.

- Przyjaciele, nim ruszycie w drogę, posilcie się, aby nie osłabnąć gdy was zaskoczy przeciwnik.- Rzekł śpiewny głos. Leptiria stała w sitowiu i wskazywała ręką na leżące na trawie naczynia, pełne najróżniejszej strawy.

- Dziękujemy ci, droga Leptirio za tak szczodłą gościnność. Z przyjemnością napełnimy puste brzuchy. - Odpowiedział Zifard zafascynowany bogactwem różnego jadła.

- Fergalu, chciałabym zamienić z tobą słowo...- Rzekła Leptiria, zapraszając go na spacer po swoim małym królestwie.

Przechadzając się wśród bujnej zieleni, kwiatów, całych rojów kolorowych ważek i motyli, Leptiria rzekła do niego z wielką powagą

- Czekają was bardzo trudne wyzwania. Sorchą jest w posiadaniu tego czego brakuje wam, aby dopełnić przeznaczenia.

- Mówisz o kamieniu?

- Tak. Ale to nie Sorchy musicie obawiać się najbardziej, lecz Volodira.

- Wiem, mieliśmy już z nim spotkanie.

- Udało się wam, ponieważ nie miał kamienia. Kiedy go zdobędzie...

- Leptirio, on nie ma takiej mocy, jak my. Nawet z kamieniem.

- Prawda. Wam czterem się nie przeciwstawi, ale każdemu z osobna. Nie rozdzielajcie się. Nie pozwólcie, aby ktokolwiek z was stanął z Vaolodyrem do walki w pojedynkę.

Fergal kiwnął głową, zgadzając się z nią.

- Wiesz, że to jest źródło wszelkiego życia?- Uśmiechnęła się, patrząc na taflę wody.- Dlatego tu wokół jest tyle życia. Ta woda ma niezwykle działanie. Mogłeś się o tym przekonać tej nocy...

- Chcesz powiedzieć, że to było działanie magii?

- Nie, to było działanie miłości. A nie ma większej magii, niż miłość. To źródło pozwoliło tylko jej się uwolnić. Zanim odejdziecie, oprócz przestrogi dam wam jeszcze coś, co przyjdzie z pomocą w chwili, gdy będzie wam się wydawało, że nic nie pomoże...

Przystanęła i wyciągnęła przed siebie dłoń. Cztery różne naszyjniki wykonane ze srebra, wyobrażające skrzydlate klucze. Każdy z nich czymś się różnił i każdy zawierał maleńką buteleczkę wykonaną z kamienia, odpowiadającego kamieniowi mocy każdego ze strażników.

- To woda ze źródła. Przyjdzie wam z pomocą gdy nadejdzie czas. Ale pamiętaj, że każdy ma tylko kroplę.

- Dobrze. Jak ci się odwdzińczyć, za taki cenny dar, Leptirio?

- Twoje serce ci wszystko podpowie. Słuchaj jego głosu.

Znów skinął głową w odpowiedzi.

- Fergalu? Jest jeszcze coś...

Położyła mu dłoń na czole i wtedy ujrzał przed sobą dwa ciała, leżące na ziemi bez życia, wśród ciemności, dymu gryzącego w oczy. Nie mógł ich rozpoznać, nie zdążył, bo wizja natychmiast zniknęła.

- Nie wszyscy z was wyjdą z tej bitwy zwycięsko. Jednak nie możesz pozwolić, by nawet iskra waszej mocy dostała się w ręce Volodira. I pamiętaj, nie będzie was czworo, lecz o jedno więcej.

- Kim będzie ta piąta osoba?

- Niespodzianką od losu i łącznikiem pomiędzy światami.

Rozmowa z Leptirią nie dawała mu spokoju. Rozmyślał o niej gdy ruszyli w dalszą drogę. Co miała na myśli? I kogo?

Niewątpliwie czekała ich walka na śmierć i życie nie tylko własne, ale i reszty świata. Musieli być przygotowani na wszystko.

Zgodnie z przewidywaniami Fergala, na ich drodze po raz kolejny stanęła banda sługusów Sorchy. A raczej Volodyra. Sorchy właściwie był tylko pionkiem.

- Znowu? Kim my jesteśmy? Testerami wyrobów wojowniko-podobnych?- Rzucił Zifard znudzony. - Skoro przybyli po śmierć, dajmy im ją- Rzucił Fergal, wstrzymując konia. Dobył srebrnego miecza. Jego przeciwnik był równie szybki i zręczny, co on. Walka trwała dość długą chwilę, aż Fergal pchnął przeciwnika prosto w serce. Ten nagle rozpułynał się w powietrzu. Wtedy świsnął miecz tuż przed jego twarzą. Fergal poczuł, jak sam koniec miecza rozcina jego skórę. Oko zalała krew. Na szczęście miał jeszcze drugie, mógł się bronić. Nie tracił czasu na walkę, pchnął w serce i kolejny przeciwnik rozpułynał się jak mgła. Kolejnych dwóch zaatakowało jednocześnie. Pozostali strażnicy także walczyli. Widząc, że Fergal jest ranny i ma problem z napierającymi na niego napastnikami, zwarli szyki i po chwili wokół nich nie było już nikogo. Fergal zły na siebie, że pozwolił się tak podejść, ocierał krew z twarzy.

- Pozwól.- Cairean podjechała do niego na swym koniu i obejrzała ranę. Skóra przecięta była od brwi, w dół przez policzek. Oko nie było uszkodzone. Położyła dłoń na ranie szepcząc zaklęcia i kiedy cofnęła dłoń, rana była w pełni zagojona. Pozostała jednak blizna. Cairean

kosztowało to jednak trochę siły. Zawróciło jej się w głowie.

Chwyciła się kulbaki ale po chwili wszystko wróciło do normy. Fergal był wściekły. Popędził konia i ruszył przed siebie, zostawiając ich w tyle. Oni także ruszyli dalej, ale nie w takim pośpiechu.

Nagle przypomniał sobie słowa Leptirii, by nigdy się nie rozdzielali i wstrzymał konia, czekając aż do niego dołączy.

Nic nie mówili. Jechali w milczeniu.

Wiele dni zajęło dotarcie do świątyni Ainthe. Gdy tam dotarli, mijając zaporę z gęstwiny drzew i kolczastych krzewów, które przed nimi usuwały się same, otwierając drogę, oczom ich ukazał się widok dosyć osobliwy. Ten cichy zakątek pełen był ludzi, elfów i innych magicznych istot.

Na spotkanie wyszła im matka Ainthe w towarzystwie Madrona, słodkiej Eilis i wszystkich tych, którzy razem z Fergalem przez lata ukrywali się w jaskini. A byli wśród nich znakomici rycerze. Zifard także odnalazł wzrokiem swoich ludzi.

- Jesteście...- Matka Ainthe krytycznym spojrzeniem obrzuciła bliznę na twarzy Fergala.

- Fergalu... Nadszedł czas, abyś przywdział koronę, która ci się należy od chwili śmierci twego ojca.- Rzekł Madron.- Przyklęknij.

Fergal ukląkł na jedno kolano i skłonił głowę. Madron trzymając dłonie tuż nad jego głową, wypowiedział donośnym głosem następujące słowa.

- Oto biorę na świadków słońce i wiatr, wodę i ogień, wszelkie istoty żyjące i wszystkich obywateli królestwa, że ten oto człowiek jest synem króla Barosa, spadkobiercą jego tronu i prawowitym władcą.

Uszedł on śmierci z rąk Sorchy, aby teraz powrócić i co swoje odebrać. Oto wasz król, Fergal!- Na głowie Fergala pojawiła się jego korona, ta, która pojawiała się zawsze, gdy musiał użyć swej mocy.

Tym razem nie wyglądała jak opaska na czole, wystrzeliły z niej smukłe ostre zęby. Fergal wstał, podniósł wzrok spojrzawszy na swych poddanych, którzy poczęli wiwatować i bić brawo. Ręką dał znak, by się uciszyli, gdyż chciał coś powiedzieć.

- Nie czas, na świętowanie. Czeką nas najcięższa walka, jaką możecie sobie wyobrazić. Walka na śmierć i życie. Nierówna i nieuczciwa. Jeśli kto nie jest gotowy oddać swego życia, niech wraca do domu. Jest wolny. Jestem królem, ale nie tyranem. Kto jest gotowy złożyć

ofiare z życia, przyjmę ją z pokorą i wdzięcznością. Kto nie jest gotowy, niech wraca do domu, do rodziny. Teraz jest na to czas. Przerwał, by dać czas na zastanowienie wszystkim obecnym, jednak nikt nawet nie drgnął. Nie ruszył się z miejsca.

- Dziękuję. Wasza ofiara nie zostanie zapomniana, ani nie pozostanie bez nagrody. Musicie wiedzieć z czym przyjdzie wam się mierzyć. Kto jest wprawiony w walce, niech zbierze wokół siebie tych, którzy nie urodzili się z mieczem. Teraz jest czas na szkolenie, na doskonalenie umiejętności. Oby szczęście nam sprzyjało.

Czas przepowiedni się wypełnia.

Zamilkł, a matka Ainthe poklepała go po ramieniu.

- No, chodźcie. Pewnieście utrudzeni drogą. Odpoczniecie, napełnijcie brzuchy i oczyśćcie głowy, zanim ruszycie na Sorchę. Chodźcie.

Cairean, Eilidh, Zifard i Fergal zasiedli do stołu wraz z Ainthe, Madronem i kilkoma najznamienitszymi rycerzami, oraz królem elfów. Służki Ainthe, oraz Eilidh, która im pomagała, podały strawę i wino. Panowała cisza. Słysząc było tylko stukanie łyżkami o miski i odgłosy jedzenia. Eilidh zerknęła na Fergala, a w jej oczach widać było szczęście i radość, że znów go widzi, całego i zdrowego. Uśmiechnął się do niej. Tę wymianę spojrzeń zauważyła Cairean. W końcu Fergal zabrał głos, przerywając:

- Volodyr hoduje swoich wojowników z pomocą czarnej magii. Kilku z nich nasłał na nas.

- Stąd ta szrama na twoim policzku?- Odgadła Ainthe.

- Zabić ich można pchnięciem prosto w serce, ale srebrnym ostrzem... Nie wiemy jak liczna będzie jego armia, ale naprzeciw niej my będziemy stanowić zapewne garstkę. Potrzebujemy srebrnych mieczy.

- Nie mamy kilku tysięcy srebrnych mieczy. Nie mamy nawet jednego.- Obruszył się jeden z rycerzy. Fergal spojrzał na króla elfów.

- To rzemiosło twoich poddanych. I walka także o waszą przyszłość. Zechcesz pomóc?

- Nawet jeśli, to nie możliwe jest wykonać tyle mieczy w tak krótkim czasie.

- Zgromadźcie ile się da, a wtedy i ja postaram się coś zrobić, aby temu zaradzić.- Uśmiechnął się łagodnie Madron.

- Ludzie...- Parsknął król elfów.- Cóż byście zrobili bez nas. Co najlepiej goi rany? Elficki miód. Co na wampiry, magiczne stwory,

czarną magię? Elfickie srebro. A co w zamian? Ciągłe ukrywanie się w lasach przed waszą pazernością, ciekawością i brutalnością.

- Bacz, że te lasy w których mieszkacie, woda, którą pijecie, wszelkie rośliny i zwierzęta istnieją, dzięki równowadze w naturze. Jesteś królem elfów, ale strażnicy są ponad wszystkimi władcami tej ziemi. Bo tylko dzięki nim ta земля może żyć.- Przypomniiał mu Fergal z mocą w głosie.

- Tylko dlatego tutaj jestem.- Warknął król elfów. Fergal westchnął ciężko.

- Słońce rzadko wychodzi, przyroda marnieje coraz bardziej. Na pastwiskach bydło nie ma się czym paść... Musimy odzyskać kamień, który Sorchą wykradł memu ojcu w dniu rzezi. Inaczej cała ta walka i to morze krwi, które płynie nieprzerwanie od tamtego dnia, nie będą miały najmniejszego sensu.

- Jutro dostarczymy miecze, ale starczy ich zaledwie dla garstki.

- Tę sprawę zostaw mnie, drogi przyjacielu.- Madron wzniósł szklanice wina, na znak, że osiągnięto porozumienie i można się zająć planowaniem kolejnych etapów czekającej ich misji.

- Sorchą z pewnością ukrył kamień tak, by Volodyr go nie znalazł. Inaczej już by nie żył. Jak my mamy go odnaleźć, jeśli Volodyrowi się nie udało?- Zapytał Zifard.

- Kamień ma pamięć i sam odnajdzie tego, kto go chronił. Ujawni się jeśli właściwy człowiek znajdzie się w odległości kilku łokci od niego.

- Twój ojciec go strzegł.- Przypomniała Erianthi.

- Nie tylko on. Poza tym płynie we mnie krew mego ojca.

- Jeśli Sorchą jest w zamku Ylvar, kamień musi gdzieś tam być.

- Nie sądzę... - Mruknął Fergal i wyszedł. Musiał pomyśleć w ciszy i spokoju. Udał się na najwyższą wieżę zamku. Rozciągał się stąd bardzo rozległy widok. Sanktuarium Ainthe znajdowało się w środku ogromnego, gęstego lasu, ale stąd było widać jego granice, przyległe do niego miasta, wsie, a na północnym wschodzie potężne, wiecznie ośnieżone Góry Pardonu. Były to góry majestatyczne, złowrogie, trudno dostępne. Ukrywali się w nich banici, wszelkiej maści czarne charaktery. Krążyły opowieści, że w jednej z jaskiń położonej w najtrudniej dostępnym rejonie najwyższego ze szczytów, mieszka przebiegły demon z kozią głową., zwany Livata Ahn co w starożytnym języku oznaczało władcę wszelkiego zła. Nikt się tam nie

zapuszczał i nikt go nigdy nie widział. Być może była to tylko historia, którą straszono dzieci w celach wychowawczych. Ale tak, jak nie było dowodu na istnienie Livata Ahn, tak nie było dowodu na to, że nie istnieje.

Jaskinia demonu miała się rzekomo znajdować na szczycie Ighil Mont. Szyt był bardzo charakterystyczny. Strzelisty, wysoki, pełen osuwisk kamiennych, głębokich żlebów i pionowych gładkich ścian. Wzrok Fergala zatrzymał się na tym szczycie, widocznym doskonale, górującym nad pozostałymi. Coś przyciągało jego wzrok właśnie tam. Wezwał do siebie pozostałych strażników, oraz Madrona.

- Wiem, gdzie szukać kamienia...- Rzekł.

- Skąd?

- Rozejrzyjcie się. Najbardziej niedostępne miejsce, naturalnie chronione, otoczone złą sławą?

- To proste. Livata Ahn. - Odparł Zifard.- Tylko jak Sorcha miałby tam umieścić kamień?

- Nie wiem jak, ale wiem, że on właśnie tam jest.

- Mamy się zapuścić w najbardziej niebezpieczną wyprawę, bo ty masz takie przeczucie?- Parsknął Zifard.

- Nie mamy bezpiecznej alternatywy. Musimy stawić czoła przeznaczeniu.- Przemówiła Cairean.

- Prawda. Tak, czy siak ryzykujemy wszystko.- Zgodziła się Erianthi.

- I nie musimy się tam wspinać, jak zwykli ludzie...- Przypomniała Cairean.

- Ruszajmy natychmiast. Spotkamy się na Ighil Mont.

Zefird rozłożył ręce. Skoro Fergal tak zdecydował, niechże tak będzie. W mgnieniu oka zmienił się w silny podmuch wiatru i pognął w stronę gór. Niebo zachmurzyło się bardzo szybko. Nad sanktuarium Ainthe utworzyła się ciężka deszczowa chmura, zagrzmiało złowrogo, zaczęło lać, a Cairean gdzieś zniknęła. Kiedy zniknął Fergal, w chmurze pojawiła się błyskawica. Erianthi skoczyła z wysokiej wieży prosto na porośniętą trawą ziemię, ale nie zabiła się. Zniknęła, jakby wtopiła się w ziemię.

Jej podróż nie była łatwa. Gdy dotarła w umówione miejsce i wyłoniła się ze skały, wszyscy już tam byli. Zifard dotarł jako pierwszy, Cairean i Fergal równocześnie.

- Długo każesz na siebie czekać, siostro.- Kpił Zifard.

- Spróbuj pokonać skałę, skoro takiś mocny w gębie.- Odparła, poprawiając burzę rudych loków.
- Nie pora na utarczki słowne. Nad nami jest jaskinia, do której musimy się wspiąć. Nie wiemy co tam na nas czeka. Przygotujmy się.

Po chwili gotowi do walki, w zbrojach osłaniających ciała i uzbrojeni w srebrne miecze, ruszyli bardzo wąską stromą ścieżką w górę. Pierwsza szła Cairean, za nią Fergal, Erianthi i na końcu Zifard. Chwilami musieli się wspinać, szukając jakiejś szpary w skale, gdzie można się chwycić lub postawić stopę. Stopa Cairean omsknęła się i omal nie spadła. Erianthi jako jedyna nie miała problemu ze wspinaczką. Nagle nie wiadomo skąd pojawiły się ogromne czarne ptaszyska, podobne do sępów. Podlatywały blisko próbując ich zrzucić ze skały. Fergal trzymając się jedną ręką, drugą wycelował strumień ognia w atakujące ich skrzydlate paskudy. Smoczy oddech odegnał ptaki. Wreszcie dotarli do jaskini. Szerokie wejście niemalże zapraszało do wnętrza.

- Nie wydaje mi się, żeby Sorcha mógł ukryć tu kamień. Jak by tu wylazł?- Myślał Zifard. Miał dosyć tej wspinaczki.
- Nie wiem jak, ale ten kamień tutaj jest. Czuję go.
- Ty tu rządzisz, mości królu. Cokolwiek się wydarzy, spadnie na ciebie.
- Zifardzie, zmieniasz front?- Zapytała Cairean.
- Nie.
- Ruszajmy.

Fergal oświetlał drogę płomieniem, który unosił się nad jego dłonią. Korytarz wydawał się nie mieć końca. Skręcał to w prawo, to w lewo, obniżał się. Schodzili w głąb góry. Zupełnie nie podejrzewali, że mają towarzystwo. W pewnym momencie usłyszeli odgłos poruszonego małego kamyka. Przy samej ścianie korytarza biegł szczur. Gdy oni się zatrzymali, on także przystanął.

- To tylko szczur.- Skwitowała Erianthi, ale Fergal był czujny:
- Szczur tutaj? Na tej wysokości?

Strzelił w zwierzę ogniem. Nagle błysnęło i stanął przed nimi Volodyr.

- Mogłem się tego spodziewać. - Mruknął Fergal. - Szukasz guza Volodyr.
- Szukam tego, co wy.

- Nie wyciągaj łap po to, co nie twoje.- Warknął Fergal. Jaskinią wstrząsnęło. Jasne oślepiające światło rozświetliło wnętrze. Błyski światła, stłumione okrzyki, trzaski. Volodyr dysponował znacznie większą mocą niż sądzili. Pokonanie go nie było takie łatwe. Jak to możliwe, że on sam był w stanie stawić czoła strażnikom żywiołów? Mimo oślepiającego niebieskawego światła Cairean dostrzegła na szyi maga wisior z kamieniem, połyskującym dziwnym blaskiem.

Wyglądał, jakby był odłamany z większego kamienia nie oszlifowany. Fergal zerknął na naszyjnik Vorodyra i w tym momencie poczuł jak ogromna siła ciska nim o ścianę jaskini. Pozostała trójka zaatakowała Volodyra z całą mocą. Skała pod ich stopami drżała, łoskot był trudny do zniesienia, przewiercał czaszkę. Zifard rzucił Volodyrem o ścianę. Położył na szalę własne życie, atakując go fizycznie, chcąc zerwać wisior z szyi maga. Volodyr chwycił Zifarda swoimi rachitycznymi palcami za twarz. Prawą rękę przycisnął do klatki piersiowej. Zifard poczuł ból, jakiego nie doświadczył nigdy w życiu. Fergal pozbierał się szybko, podbiegł. Chwycił Zifarda i odepchnął na bok. Dobył miecza i dźgnął, ale Volodyr zdołał zrobić unik i znów cisnął Fergalem o ścianę. Cairean spojrzała na Zifarda. Leżał bez przytomności, jego ciałem wstrząsały drgawki. Na twarzy miał poczerniałe odbicie dłoni Volodyra. Czowała, jak uchodzi z niego życie. Musiała coś zrobić, ratować go. Uklękła przy nim, podczas gdy Erianthi wciąż walczyła. Uzdrowicielka Cairean położyła dłoń na klatce piersiowej Zifarda. Wiedziała, że jest bardzo źle. Nie miała wystarczająco dużo mocy, by mu pomóc. Ocknął się, spojrzał na nią i szepnął:

- Zabierz moją moc.

- Nie!

- Nie masz dość siły by mi pomóc i pokonać Volodyra. Zabierz moją moc.

- Zrób to, Cairean, nie masz wyjścia!- Krzyknął Fergal.

Odebranie mocy Zifarda oznaczało jego śmierć.

Widząc jak Erianthi opada z sił, jak Fergal przyjmuje na siebie kolejne ciosy, zrozumiała, że naprawdę nie ma innego wyjścia. Płacząc zrobiła to, co musiała. Skupiła całą swoją uwagę i siłę na połączeniu własnej mocy z mocą Zifarda. Woda i wiatr nie zwalczają się jak woda i ogień. Mogą współistnieć. Jasna kula światła wyszła z klatki piersiowej Zifarda i wtedy Cairean poczuła coś dziwnego. Poczuła obecność

kogoś jeszcze i to we własnym ciele. Kula światła wniknęła w nią i przeszła aż do jej łądzwi. Ciało Zifarda opadło bez życia. Podniosła pełne łez oczy, by rozeznac się w sytuacji. Fergal i Volodyr walczyli na miecze i ciskali w siebie starożytnymi zaklęciami. Erianthi wycieńczona i zszokowana nie mogła zebrać się w sobie, by wrócić do walki. Widziała co stało się z jej bratem. Kiedy Fergal znów przeleciał w powietrzu i uderzył plecami o ścianę, w Cairean wezbrała złość. Próbowała zatrzymać Volodyra, zamrozić silnym lodowatym podmuchem.

Fergal podnosząc się spojrzał na niewielką niszę w skalnej ścianie. Volodyr nie mógł jej widzieć. W tej niszy coś błysnęło podobnie jak kamień, który Volodyr miał na szyi. Fergal już wiedział. Znalazł kamień. Podbiegł, chwycił go a wtedy wisior zerwał się z szyi Volodyra, poszybował prosto w stronę Fergala i przykleił się do dużej jasnej bryły, którą Fergal dzierżył w dłoni. Cała trójka wiedziała, że teraz Volodyr nie ma szans. Stanęli ramię w ramię i całą złość, ból i całą moc swoją i kamienia skierowali na Volodyra. Jego krzyk poruszył całą górą, która zadrżała u podstaw. Volodyr zapłonął jasnym błękitnym ogniem, a kiedy płomień zgasł, została po nim kupka popiołu.

Erianthi padła na kolana, objęła ciało brata i zalała się łzami. Cairean także płakała.

- Nie zostawimy go tutaj. Zabierzmy go do Ainthe i pochowajmy.-
Powiedział cicho Fergal.

Chwilę później wylądowali w zamku kapłanki Ainthe, w komnacie jadalnej. Pierwsza wpadła Cairean. Wylądowała na kolanach. Miała potargane włosy, ślady walki na ciele. Ainthe już miała podbiec do niej, kiedy na podłodze wylądowała Erianthi. Widząc ich twarze, Ainthe zrozumiała, że stało się coś strasznego.

- Zaraz... Gdzie są... Co się stało?

Wtedy pojawił się Fergal. Ułożył ciało Zifarda na stole.

Nikt nie śmiał się odezwać. Wszyscy patrzyli w milczeniu. Dziesiątki pytań zawisły w powietrzu. Erianthi wybiegła z komnaty, szlochając. Fergal pokręcił głową z rezygnacją. Czuł się winny tego, co się stało z Zifardem.

Tego wieczora pochowano Zifarda w ziemi a jego grób nakryto skałą na której wyryto jego imię starożytnym pismem. Erianthi zamknęła się w komnacie i płakała. Ainthe pocieszała ją.

Fergal siedział na szczycie wieży, patrząc w stronę gór. Cairean przyszła do niego i usiadła obok.

- To nie tak miało być...- Szepnął.

- Zifard oddał życie, ale jego duch zawsze będzie z nami. Teraz mam własną moc i jego. Sądziłam, że to nie możliwe, ale... Wciąż jest nas czworo Fergalu...

- Jak to?

Cairean dotknęła jego twarzy i nie poparzyła się. Pocałowała go.

Mogła to zrobić bez przeszkód.

- Jak to możliwe?- Zapytał Fergal zdumiony.

- Nie jestem pewna czy to dzięki mocy Zifarda, czy... Dzięki temu, co rośnie we mnie.

- O czym ty mówisz?

- Ta noc nad jeziorem Leptirii... Noszę w sobie twoje dziecko, Fergalu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Czułam to bardzo wyraźnie, gdy... - Przypomniała sobie chwilę śmierci Zifarda. On także zobaczył tę myśl swymi oczami.

- Oddał życie, byśmy mogli być razem.

- I oddał swą moc, abyśmy nadal mogli czuwać nad równowagą sił Matki Natury. Teraz musimy rozprawić się z Sorcą i odzyskać twój tron.

- Z kamieniem mocy i po pokonaniu Volodyra to pestka.

- Co zrobisz z kamieniem? Ukryjesz go gdzieś, gdzie będzie bezpieczny?

- Jeszcze nie wiem.

Nic już nie mówili. Siedzieli w ciszy patrząc na rozgwieżdżone niebo. Myśleli o Zifardzie.

Podczas, gdy oni walczyli z Volodyrem, nad królestwem szalała taka burza, jakiej nikt jeszcze nie widział. Deszcz lał tak, że woda płynęła strumieniami, zabierając z sobą plany z pól, pioruny co i rusz uderzały w drzewa i chałupy, paląc je doszczętnie, a wiatr zrywał dachy. W pewnym momencie wiatr ucichł, a potem wreszcie burza ustała. Jakby nigdy nic wyszło słońce.

Rankiem Fergal wyszedł do wszystkich, którzy przybyli na wezwanie i przemówił:

- Drodzy przyjaciele, dziękujemy wam, że przybyliście tu gotowi walczyć o swoją przyszłość. Volodyr został pokonany, już nie będzie nikomu zagrażał, a bez niego Sorchy jest zwykłym buntownikiem z garstką najemników. Pokonanie go nie będzie trudne. Możecie wracać do swych domów. Wasze oddanie nie pójdzie w zapomnienie.

W chwili, gdy Volodyr został unicestwiony, cała stworzona przez niego przy użyciu czarnej magii armia także zniknęła. Wyparowała. Strażnicy przybywszy na zamek należący do Fergala, bez problemu rozprawili się z wojskiem Sorchy, a jego samego wtrącili do lochu. Fergal zasiadł na tronie, a Cairean u jego boku. Erianthi została z nimi. Choć ból po stracie ukochanego brata nigdy nie minął, odnalazła szczęście u boku rycerza, któremu Fergal ufał najbardziej. Yalu śpiewał pieśni o strażnikach żywiołów, a na świecie wreszcie zapanował ład i pokój.